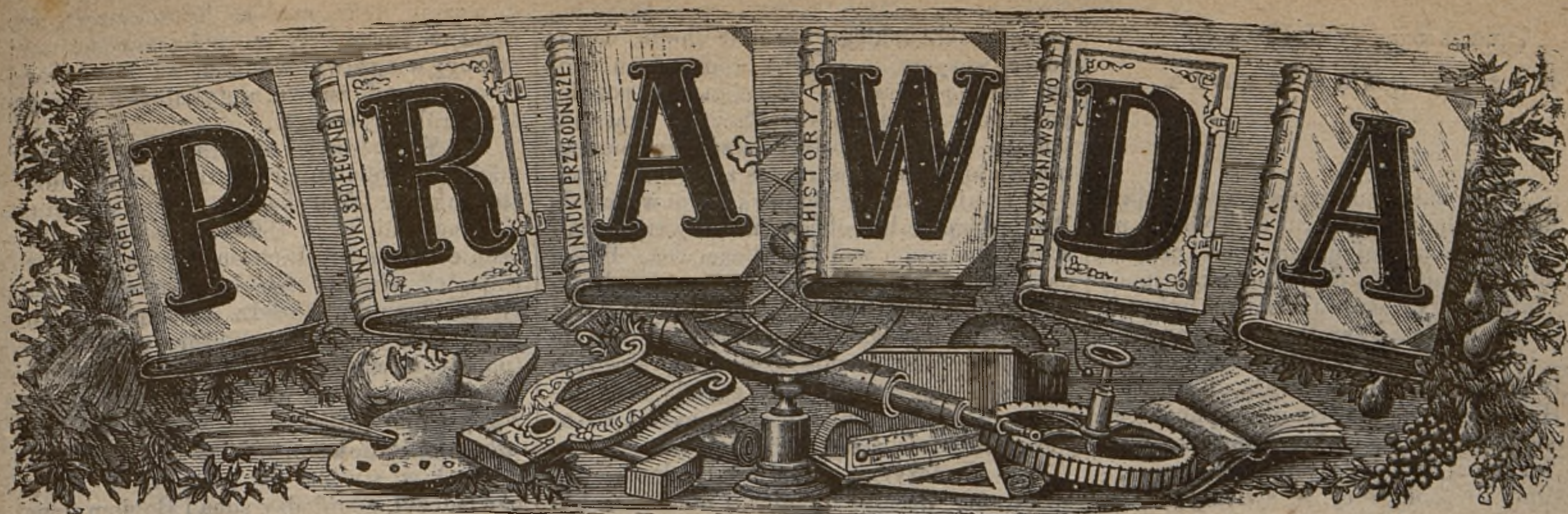
№ 16. Warszawa, dnia 21 (9) Kwietnia 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

ZAHYPNOTYZOWANI.

Sprawa wyższego opodatkowania gorzelni austryackich, w którem mocno ucierpiałyby galicyjskie, była, ze względu na swą ważność i warunki — że tak powiemy — psychologiczno - ekonomicznym probierzem mądrości stanu Koła polskiego w Wiedniu. Jej ważność materyalna mieści się w 12 milionach nowego podatku, zwalonego na kraj ubogi i fiskalizmem wypompowany; jej warunki stworzyło przebranie się miary „poświęceń dla utrzymania rządu obecnego." Jakkolwiek ojcowie i radcy polityczni Galicyi w swych ofiarach materyalnych na ołtarzu św. Taaffego mniej cenili guldeny swoich ziomków, niż czesi i węgrzy groch, i oddawali miliony z taką łatwością, jak makówki, jednakże uczuli, że nowe dobrodziejstwo „ministra rodaka" przykłada narodowi nóż do gardła, a co najmniej wytrząsa z kieszeni resztki krajcarów. Powiał więc po całej Galicyi krzyk zgrozy i skargi, zaczęto zwoływać zebrania, uchwalać protesty, wysyłać deputacye, a nawałnica srożyła się z tem większą mocą, że zamierzony podatek godził bardziej w szlachecką beczkę, niż w chłopski kieliszek. Wielu posłów, ulegając temu prądowi, zaprzysięgło przed wyborcami, że jak Rejtani zagrodzą swemi ciałami drogę „ministrowi rodakowi" do projektowanego zdzierstwa. Odgróżek takich było bardzo dużo, a niektóre z nich nawet wypowiadały nadzieję, że Koło polskie nie przyłoży ręki do tego dzieła i ekonomicznego morderstwa.

Zdawałoby się więc, że podwyższenie podatku wódczanego nie pomnoży listków wawrzynowych na głowie p. Dunajewskiego, a przynajmniej, że jej nie uwieńczą nimi ziomkowie. Tymczasem, według ostatnich doniesień o „wyrównaniu zdań" między Kołem polskiem a rządem, przewidywać można, że Rejtanowie galicyjscy, „krzyknąwszy: nie pozwalamy, uciekną na Pragę" dość licznie i że nieoceniony, wielokrotnie wypróbowany strach na wróble.. galicyjskie: „potrzeba niestawiania trudności gabinetowi Taaffego" — i tym razem okaże się skutecznym. Dawno wbitym i głęboko tkwiącym gwoździem w mózgu Koła jest dogmat, że po za obecnem ministerium nie ma dla Galicyi zbawienia, że należy mu więc nie odmawiać żadnej ofiary. Było to niezmiernie dowcipnym pomysłem patrona tego kultu, że przy pompie, wysysającej owe ofiary, postawił galicyjskiego „rodaka." Do wiary bowiem w Taaffego przybyła wiała w Dunajewskiego, który urokiem swego pochodzenia uwodzi naiwnych ziomków i obdziera ich a za ich pośrednictwem inne ludy monarchii bez żadnego miłosierdzia. Dzięki związkowi tych złudzeń, politykę galicyjską opanowało we wszystkich sprawach rozumowanie: ponieważ czegoś żąda zbawiciel Taaffe i rodak Dunajewski, więc to musi być dla kraju pożytecznem. Rzadko kto zdobywa się na przypuszczenie, że Taaffe nie jest jedynym zbawicielem, a Dunajewski jest najprawowitszym austryakiem i zdarłby z Galicyi nietylko skórę, ale najdelikatniejszą błonkę ekonomiczną.

Ile już ich zdarł patryotycznym nożem— wyliczać nie będziemy. Dość, że zabrał się do nowej operacyi wtedy, kiedy złupiony kraj już cierpliwie wytrzymać jej nie może Obecnie zatem toczy się w łonie delegacyi galicyjskiej walka między rozumem i sumieniem a bałwochwalstwem i poddańczością dla rządu. Koło polskie wygląda jak zahypnotyzowane przez „ministra-rodaka" medium, które usiłuje wyzwolić się z pod jego wpływu i uratować resztkę swej woli. Drży, stęka, płacze, tłumi płacz spazmowy, a do oporu stanowczego sił nie czuje. Ciało to swem niedołęstwem budzi często litość. Tak np. skarży się ono, że rząd stawia je zawsze wobec gotowych umów z węgrami, utrudniając tym sposobem układy i dając do wyboru: *hic salta, hic Rhodus*. Rzeczywiście tak jest, ojcowski gabinet Taaffego, wiedząc, że węgrzy mają karki twarde, a galicyanie miękkie, targuje się tylko z pierwszymi, a drugim nasuwa postanowienia gotowe. Ale kto temu winien? Czy ci, co trzymają się sztywnie, czy ci, co pozwalają zginać się w pałąk? Gdyby Koło polskie, które liczbą swych głosów waży na szalach politycznych, raz za zasadę postępowania uznało interesy własnego kraju; gdyby przestało dziecinnie wierzyć, iż po za gabinetem Taaffego ma jeszcze podstawę pożądanego działania; gdyby w „ministrze-rodaku" dojrzało rzetelnego austryaka — oszczędziłoby narodowi wielu szkód, a sobie — wielu upokorzeń. Ale taka śmiałość dotąd przeraża delegacyę galicyjską, wobec której każdy minister energiczny stałby się powoli Sinobrodym i wołał: niżej—niżej!— a ona na tę komendę pochylałaby głowy. Lęże się w tem ciele oddawna coś nakształt samodzielności, ale stańczyk ciągle mu zadaje lekarstwa na zrzucenie tych niedonoszonych płodów. Czy sprawa podatku wódczanego zakończy się również takiem poronieniem? W każdym razie nie zdziwi nas ono wcale

CESARZ WILHELM
i jego panowanie.

III.

Trzy lata następne poświęcone zostały utrwaleniu władzy pruskiej nad Niemcami i przygotowaniom wojennym. Izba poselska wybrana nazajutrz po Sadowie okazała się nader uległą. Niczego nie można było odmówić zwycięzcy. Wszelkie nieprawidłowości i pogwałcenia konstytucyi pokryte zostały entuzyastyczną uchwałą. Kandydatura Hohenzollerna do tronu hiszpańskiego stała się powodem do wojny francuzko-pruskiej, ku której Prusy były już dobrze przygotowane. Przebieg jej w świeżej jeszcze pamięci. Król osobiście uczestniczył w wielkich bitwach około Metz i w dniu 2 września znajdował się pod Sedanem, gdzie zwyciężony Napoleon oddał mu szpadę, co zwycięzca w liście do żony nazwał „snem na jawie.“ Odtąd król pruski, stanąwszy na takiej wysokości i będąc człowiekiem wierzącym bierze się coraz wyraźniej za narzędzie Opatrzności i sądzi, że Jehowa odkrył mu księgę przeznaczeń. Nie chce zawrzeć pokoju, który Favre proponuje mu w Ferrières. Zapomniał o tem, co głosił niedawno, że wojuje tylko z Napoleonem; cesarz francuzów w niewoli — wojna toczy się dalej. Wilhelm staje główną kwaterą w Wersalu i tu zdawszy sprawy polityczne i wojenne na Bismarka i Moltkego, myśli tylko o jednem — o koronacyi na cesarza. Wydaje orędzie do parlamentu niemieckiego z datą 24 listopada 1870 r., w którem nawołuje do ostatecznego zjednoczenia Niemiec. Parlament odpowiada na nie uroczystą uchwałą, wzywa przytem zwycięzcę do przywrócenia i przyjęcia godności cesarza. Deputacya sejmu udaje się z tą uchwałą i adresem do dawnej siedziby królów francuzkich. W adresie błaga króla Wilhelma, ażeby „raczył zakończyć dzieło zjednoczenia, przyjmując koronę cesarską.“ Mimo, że było to najgoretszem życzeniem monarchy pruskiego, odracza jednak ostateczne przyjęcie ofiarowanej mu godności. „Dopiero — mówił — gdy usłyszę jednomyślny głos książąt niemieckich, wolnych miast i narodu, wtedy dopiero uznam głos Opatrzności i będę miał wiarę w błogosławieństwo niebios.“ Głosy te nie dały na siebie długo czekać. 18 stycznia 1871 r. w Sali zwierciadłowej pałacu wersalskiego, król Wilhelm, wobecności wszystkich książąt niemieckich włożył koronę cesarską. W kilka dni później podpisano kapitulacyę Paryża; warunki pokoju przyjęte zostały przez zgromadzenie w Bordeaux, cesarz zaś zrobiwszy przegląd armii w lasku Bolońskim, powrócił do Berlina, gdzie był obecnym przy tryumfalnym powrocie wojska 16 czerwca. Pokój ostateczny podpisany został we Frankfurcie. Prócz 5 miliardów kontrybucyi, Alzacya i Lotaryngia przyłączone zostały do Niemiec, jako ziemie cesarskie; stosunki z państwami zreczonemi zostały uregulowane. Cesarstwo niemieckie, wyszłe z wojen i podbojów zostało ufundowane.

Nie skończyły się jednak trudności wewnętrzne. Cesarz niemiecki miał przechodzić te same walki z parlamentem, co i król pruski. Zapatrzony w swą gwiazdę Opatrznościową, nie okazał się bynajmniej skłonnym do ustępstw w polityce wewnętrznej, mimo, że stronnictwo narodowo-liberalne przyłożyło się również do zjednoczenia, które on jednak uważał jako dzieło dworu, oręża i Opatrzności. Stała większość rządowa w parlamencie niemieckim nie znalazła się dotąd; wewnątrz państwa toczy się wciąż walka konstytucyjno-parlamentarna, rozpoczęta w r. 1847.

Rząd niemiecki usiłował wciąż uczynić się jaknajbardziej niezależnym od parlamentu. W r. 1871 budżet wojskowy uchwalono z góry na trzy lata. W r. 1874 starcie z tego powodu jeszcze bardziej się zaostrzyło. Rząd chciał zupełnie odjąć parlamentowi prawo stanowienia w rzeczach wojennego budżetu; prawo organiczne miało raz na zawsze określić wydatki na armię, ustosunkowane do jej ilości i zaludnienia. Parlament oparł się temu, wreszcie uchwalono siedmiolecie, w r. 1880 ponowione.

Nietylko jednak budżet wojskowy stał się przedmiotem nieporozumień. Cesarz Wilhelm nigdy nie chciał uznać parlamentarnej odpowiedzialności ministrów przed Izbą, uważając się sam za głównego sprawcę wszystkich czynności rządowych. W r. 1881 wybuchły w parlamencie ożywione rozprawy z powodu nacisku wywieranego na wyborców. Parlament uchwalił nawet naganę ministrowi spraw wewnętrznych; cesarz napisał wtedy list do ministra, w którym raz jeszcze przyznał sobie wyłączne prawo odpowiedzialności rządowej. Dwa lata później *Reichsanzeiger* bronił znowu prerogatyw korony. W r. 1885 z powodu interpelacyj w sprawie wydaleń z Poznańskiego cesarz bronił znowu nietykalnych prerogatyw króla pruskiego...

W *Kulturkampfie* nie brał bezpośredniego udziału, zachowując tradycyonalne dobre stosunki z Watykanem. Sojusz jednak z Włochami w r. 1866, a następnie wkroczenie wojsk włoskich do Rzymu w r. 1870 i upadek władzy świeckiej papieży zmieniły te stosunki. Cesarz dał zupełne pełnomocnictwo kanclerzowi, który w katolikach (polacy, bawarowie, hanowerczycy) widział przedewszystkiem wrogów cesarstwa. Szereg postanowień zakończony został tak zw. prawami majowemi 1873 r. Papież Pius IX napisał wtedy list do cesarza, w którym oświadczył, że między sobą i Bogiem uznaje tylko jednego pośrednika — Chrystusa. Cesarz odpowiedział, że z władzy swej pragnie korzystać i stosunki zostały zerwane. Z wstąpieniem na stolicę apostolską Leona XIII postarano się je nawiązać. Niemcy wysłały do Watykanu pełnomocnika w osobie Schloezera, następca tronu wracając w r. 1883 z Hiszpanii, odwiedził papieża, Bismark uległ i prawa majowe zostały zupełnie prawie zniesione.

Sprawa socyalna zajmuje nie mniej ważne miejsce w szeregu wewnętrznych spraw niemieckich. Bismark, który znał się osobiście z Lassalem, następnie zaś pozostawał w stosunkach z uczniem jego Lotharem Bucharem, wcześnie już myślał o oparciu się na klasach robotniczych dla przeciwdziałania mieszczaństwu liberalnemu. Dalszym następstwem tych planów są wprowadzane obecnie, z inicyatywy rządowej ubezpieczenia robotników. Plany te jednak nie wykorzeniły demokracyi socyalnej, która wzrasta wciąż liczebnie, jak to wykazały wybory 1881 i 1884. Dla powstrzymania tego rozwoju Bismark przeprowadził ustawę praw wyjątkowych, ograniczających swobodę prasy, zebrań itp. Zamachy na cesarza dostarczyły powodu do ich przedłużenia. Po pierwszym zamachu parlament obrzucił je większością 241 głosów przeciwko 57. Po 4 czerwca Izba była by je niewątpliwie uchwaliła, została jednak rozwiązaną. Odtąd prawa te były wciąż ponawiane. W dziedzinie ekonomicznej kanclerz otworzył epokę ceł ochronnych.

Polityka pruska obok sojuszników wytworzyła sobie i żywioły nieprzyjazne we-

---

8)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.
II.

AURELI WISZAR

dramat w trzech aktach

W. Okońskiego.

(Dzieje się współcześnie w Krakowie).

SCENA III.

Ciż i Justyn.

Wiszar.

Pan zapewne nabyłeś jakiś mój weksel, ażeby mieć prawo tu przyjść? Niezadługo będę w kantorze — proszę tam poczekać. (*Justyn milczy*). Tam również Ceder czeka — nie będziesz pan się nudził. Do widzenia się... (*odchodzi*).

Justyn.

Panie Wiszar.

Wiszar.

Interesy załatwiam w kantorze.

Justyn.

Gdyby pańska żona tu była, powiedziałaby, że pan wprzód powinieneś mnie wysłuchać, nim obrazisz.

Wiszar.

Moja żona powiedziała mi, ażebym drzwi naszego domu przed panem zamknął.

Justyn.

Dziś otworzyłaby je sama.

Wiszar.

Czego pan ode mnie żądać możesz?

Justyn.

Uczciwości, której pan wymagasz od mojego ojca.

Wiszar.

Pański ojciec jest niegodziwcem.

Justyn.

Skoro to słowo padło, niech leży górą między panem a moim ojcem, ale niech nie będzie kamieniem, którym pan rzucasz na mnie. Bo ja przychodzę pana ostrzedz, że stoisz nad przepaścią.

Wiszar.

Nie zastraszyło mnie pańskie pióro, nie przerażą i usta, bo to są usta, które—klamią.

Justyn.

Strzeż pan swoich, bo krzywdzą.

Wiszar.

Krzywdzą? Gdybyś pan był godzien widzieć te, z których ja idę teraz obetrzeć krew a ty zbierałeś zdradziecko szepty najczystszej miłości, może zrozumiałbyś, co to jest krzywda i może ona zaczęłaby toczyć twoje sumienie. Plamę tej krwi uczujesz pan na swojem czole, jeśli je kiedykolwiek interes kupiecki wycierać przestanie.

Justyn.

Sprawiedliwość odbiegła pana, zatrzymaj w sobie przynajmniej miłosierdzie. Wiem, że siostra pańska jest bardzo chorą, bo codzień dowiadywałem się o jej zdrowie i właśnie dlatego odważyłem się wezwać na obronę jej i moją serce pańskie. Ja pannę Cecylię ciągle kocham, a jeśli mnie przyjmiecie takim, jakim wyzuty z mienia będę, wyrzeknę się ojca.

Wiszar.

Czemuż dopiero teraz dobywa się w panu ten zdrój szlachetności?

Justyn.

Straciłem nadzieję ubłagania ojca, a zyskałem pewność, że on was wszystkich zgubić pragnie. Tak, byłem dla niego zbyt uległym; ale zważ pan, że natura nie wszystkich tworzy z jednakiego materyału i w jednakich stawia warunkach; że nie wzmacniałem swego charakteru życiem samodzielnem; że przywykłem od dzieciństwa uznawać w tym nieugiętym człowieku nietylko mojego ojca, ale zwierzchnika, którego wola mogła mi dać szeroką podstawę istnienia lub uczynić niczem. Czy pan to znajdujesz tak potwornem i zdrożnem, że przyszły mąż siostry pańskiej pragnął jej naprzód zbudować dom, zanim ją do niego wprowadził? Czy to staranie skaziło miłość

wnątrz Związku. Po roku 1866 królowi hanowerskiemu i synowi jego księciu Cumberlandzkiemu skonfiskowano królestwa i dobra prywatne. Elektor heski zmarł w r. 1875 na wygnaniu, syn jednak jego zrzekł się praw do księstwa. Książę Nassau pogodził się z nowym porządkiem rzeczy w r. 1885, wydając córkę za następcę tronu badeńskiego, wnuka Wilhelma. Książę Fryderyk Augustenburg wywłaszczony w roku 1864, uległ również, wydawszy córkę za księcia Wilhelma, obecnie następcę tronu. Mimo to zaborcza polityka i przewaga Prus w Rzeszy liczy wielu nieprzyjaciół, którzy, nie zrywając może węzłów związkowych, radziby się oswobodzić od przewagi pruskiej. Konstytucya związkowa związała godność cesarską z domem panującym w Prusach, bez żadnych ograniczeń. W razie jednak, gdy na tronie pruskim zasiadać będą królowie nieposiadający tej powagi i sławy, co zmarły monarcha, Związek między Prusami i Rzeszą może się stać luźniejszym. Kiedy Niemcy zakończą politykę podboju i pokonywania swych przeciwników, zacznie się niewątpliwie okres wewnętrznego rozwoju i wtedy stosunki jednostek państwowych, składających Związek, mogą się ułożyć swobodniej.

Dotknijmy jeszcze stosunków zewnętrznych. Niemcy po r. 1871 pracowały stale nad wyosobnieniem Francyi, zbliżeniem się zaś do Austryi, Włoch i Rosyi. Rzeczy to znane powszechnie, nadmienimy o tem jednak dla pełności obrazu. Życzliwe stanowisko Rosyi wobec Prus, poprzedzone spotkaniem w Ems, ułatwiło ukonstytuowanie się nowego cesarstwa. Wzamian za to Rosya, okólnikiem ks. Gorczakowa z d. 19 października 1870 r. wypowiedziała krępujące ją paragrafy traktatu paryzkiego, dotyczące morza Czarnego. Austryę starały się Niemcy popchnąć ku Bałkanom, co określone być miało na zjeździe cesarzów w Ischl 1871 r. Niebawem wytworzył się związek trzech cesarzów. Zjazdy takie powtarzały się odtąd peryodycznie. Są poszlaki, że w r. 1875 groziła nowa wojna między Francyą i Niemcami, którą miała powstrzymać Rosya. Podobno od tego czasu zarysował się antagonizm między temi dwoma państwami. Traktat berliński 1878 r. stosunków tych nie naprawił, lecz jejeszcze pogorszył, następstwem czego było zawarcie między Niemcami i Austryą w r. 1879 osobnego przymierza, którego treść świeżo została ogłoszoną. Powiadają, że cesarz Wilhelm miesiąc cały wstrzymywał się z podpisaniem tego sojuszu, jako skierowanego przeciwko Rosyi i uległ nakoniec, gdy Bismark zagroził dymisyą. Zresztą stosunki między trzema cesarstwami wciąż były podtrzymywane, a ich uwieńczeniem był formalny związek trójcesarski, zawarty w Skierniewicach w r. 1884, następnie zaś ponawiany w Kromieryżu 1885 i w r. 1886 w Gasteinie. Nie przeszkodziło to jednak istnieniu sprzeczności, które uwydatnia położenie obecne...

Pomijam stosunki z Włochami — te ostatnie zdają się zbliżać teraz bardziej do Anglii — równie jak z Hiszpanią, która w grę wypadków europejskich prawie nie wchodzi, mimo że Niemcy, rozszerzając swą politykę kolonialną, weszły z nią w zatarg niedawno o wyspy Karolińskie, zatarg zakończony wdaniem się polubownem papieża, na propozycyę Bismarka.

W dniu 22 marca 1887 r. cesarz niemiecki obchodził uroczyście jubileusz ukończenia lat 90— wiek prawie cały, który dał Niemcom upragnione zjednoczenie; dzieło to jednak krwi i żelaza, połączone przytem z pruską hegemonią. Do wzniesienia tego gmachu zmarły cesarz rękę swą przyłożył i historya da mu może tytuł „Wielkiego.“ Czy atoli budowa ta, niedość silnie i szczelnie sklejona, ostoi się zębowi wieków i zębowi czasu; czy Niemcy zawsze cierpliwie znosić będą pruską hegemonię i czy polityczne przewroty wewnętrzne nie zaprowadzą w tem dziele zmian doniosłych — przyszłość to, może niedaleka, okaże.

E. P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz Fryderyk poważnie zaniepokoił świat swoją chorobą. Na początku ubiegłego tygodnia zdawało się, że tron niemiecki zamieni się znowu na katafalk. Choremu groziło uduszenie a przytem zapalenie przeniosło się na płuca. Stan groźny trwa dotąd i według wszelkiego prawdopodobieństwa jest ostatnim aktem dramatu.

A dramat to istotny. Fryderyk III pragnie żyć, pragnie działać, widzi, że pierwszy doradca korony bądź nadużywa swej władzy, bądź usiłuje przeciągnąć dalej epokę krwi i żelaza, że następca tronu ulega mu bezwarunkowo, że należałoby odwrócić ster państwa—tymczasem do tej pracy wielkiej sił brak a ich resztki szybko znikają. Umierający cesarz cierpi nietylko nad własną niemocą i gasnącą nadzieją, ale również nad tem, że nie widzi koło siebie nikogo, ktoby jego zamiary kiedykolwiek spełnił. Z wyjątkiem żony i kilku powierników, którzy po jego śmierci wszelki wpływ na losy państwa stracą, kończy on życie otoczony przeciwnikami lub wrogami.

Chociaż widmo śmierci, ukazujące się przy tronie, który zaledwie przed miesiącem opróżniło, jest dla niemców widokiem przykrym i poniekąd strasznym, nie wygląda ono tak okropnie, jak widmo dyktatury człowieka co najmniej wątpliwego, warchoła, we Francyi. Boulanger, wybrany w departamencie północnym na posła do Izby olbrzymią sumą 170 kilku tysięcy głosów, o wielki krok przysunął się do celu swych marzeń — do panowania. Monarchiści, połączywszy się z bezmyślną a niby wolnomyślną ciżbą, ciągną jego rydwan zwycięzki w nadziei, że go w stosownej chwili zrzucą i wsadzą swego kandydata. Daremnie Floquet i Ferry ostrzegają Rzeczpospolitę przed Katyliną—ich głosy nie wywierają nawet skutków krzyku gęsi kapitolińskich. *Republ. fran.* wywiesiła w tym celu taki jaskrawo malowany obraz bandyty politycznego:

„Są ludzie, którzy nie mogą powiedzieć prawdy bez złamania sobie języka. Boulanger do nich należy. Kiedy z gromnicą w ręku chodził za processyami biskupa Belleya, okłamywał Boga. Dziś, chodząc we frygijskiej czapce za dziennikiem *Lanterne*, okłamuje lud. Jest dwujęzyczny, trójjęzyczny, czterojęzyczny. Tem samem piórem, którem pisał do księcia d'Aumale, by ten poparł jego mianowanie na generała brygady, tem samem piórem i tegoż samego dnia pisał do jednego z przyjaciół Gambetty, żeby ten raczył udzielić mu audyencyi, na której mógłby mu swoje zasługi wyliczyć i wyrazić swe dla niego poświęcenie. Dziś w południe je śniadanie z bonapartystą, wieczorem obiaduje u Rocheforta. Wszystkim mówi dnia danego, jednemu po drugim, przysięgał posłuszeństwo i wierność: biskupom za rządu 24-go maja, by zostać pułkownikiem, księciu d'Aumale, by zostać generałem brygady;

---

moją? Czy z niego wychylił się tak wstrętny egoizm, że aż zasłużył na policzek wzgardy? Skrępowany ojcowskiem okrucieństwem i wychłostany waszą odrazą, cierpiałem dotąd niemy i bezsilny; ale dziś, usłyszawszy o niebezpieczeństwie życia tej, którą w boleści kocham, postanowiłem rozstać się z ojcem, a wam cisnąć pod nogi zranione serce. Możecie je podnieść lub rozdeptać.

Wiszar (zdumiony).

Kłamstwo nie wydaje takiego dźwięku... Słowa pańskie odbijają się o moją duszę taką szczerością, jak krążki złota uderzone o marmur. Ale czemu dopiero teraz. .

Justyn.

Moja i wasza wina: moja, że wahałem się za długo, wasza — że nie wahaliście się wcale.

Wiszar.

Głowę wypełniła mi chmura, podarta błyskawicami, a ta niewinna pokutnica, w którą ugodził piorun, może już nie ujrzy tęczy. O gdybym zdołał wyrwać z jej piersi ten grot śmiertelny, gdyby ona uśmiechnęła się pogodą wracającego szczęścia!.. Panie Justynie... krzyż nie winien cierpień męczennika na nim rozpiętego, winien morderca, którym jest twój ojciec. Cecylia bardzo chora— spieszę do niej, bo przed chwilą dostała krwotoku. Nie chciałbym jej zaszkodzić mocnem wzruszeniem, więc pójdę sam, przygotuję ją łagodnie, ona ci przebaczy, może odżyje... Ach, odsłoń mi się jeszcze niebo chociaż wązkim rąbkiem... Cecylio... ojcze wskrześ z oddali świętem słowem twoją córkę! Jakiś wir uczuć w mojej piersi tańczy... Poczekaj pan tu... króciutko... potem pójdziemy do niej oba (*odchodzi*).

SCENA IV.

Justyn, później Hr. Scibor.

Hr. Scibor (do zamyślonego Justyna).

Panie Justynie, tu dumanie dla ciebie niebezpieczne.

Justyn.

Jeśli pan hrabia nie obawia się, ja tem bardziej mogę być spokojny.

Hr. Scibor.

Istotnie, jesteś pan na tem miejscu zagadką.

Justyn.

Zagadką byłem tylko u mojego ojca, któremu pozwoliłem sponiewierać moją godność. Podziękowałem mu za dalszą niewolę i wszystkie złączone z nią dobrodziejstwa, wróciłem do ludzi, których nie powinienem był opuszczać i czekam na przebaczenie tej, której kochać mnie nie oduczono.

Hr. Scibor.

Cóż pana tak nawróciło?

Justyn.

Między innymi powodami i ta klątwa na Wiszara, którą pan hrabia również podpisał.

Hr. Scibor.

Za świeżym pan jesteś wyznawcą nowej wiary, ażeby ci wypadało już potępiać dawną.

Justyn.

Przypominam, że i dawnej byłem odszczepieńcem, a nawet pan hrabia długo się jej opierał.

Hr. Scibor.

Ojciec pański nie był dla mnie żadnym ewangielistą, ale jako człowiek praktyczny, wskazał mi w postępowaniu pana Wiszara nasienie złego, które, niezniszczone w porę, mogło wyrosnąć szkodliwym dla społeczeństwa chwastem.

Justyn.

E, panie hrabio, dobro społeczne jest to dom podrzutków, gdzie każdy tajemnie zostawia dziecko nieprawe, kto chce ukryć hańbę swej miłości własnej.

Hr. Scibor.

Nie przeczę — to się zdarza.

Justyn.

Najczęściej. Czyn uczciwy broni się sam, nieczny — ucieka do jakiejś świątyni, bo ona mu zapewnia nietykalność.

Hr. Scibor.

I tak bywa.

Justyn.

I tak jest w wypadku obecnym.

Grévemu, by został generałem dywizyi; Juliuszowi Ferremu, by otrzymać dowództwo w Tunisie; Clémenceau, by został ministrem wojny; księciu Wiktorowi, by być popieranym przez bonapartystów w Dordogne; Laguerre'owi, by odnieść zwycięztwo w departamencie du Nord. Wszystkie te przysięgi złamał... Nie mówi on, tylko kłamie. Ten człowiek kłamie, jak inni ludzie oddychają. Zapowiada jakiś uczciwy czyn, miejcie się na baczności! Przysięga—drżyjcie! Gdy opowiadają jaką potworność, która cały świat oburza, on ze zgrozą powstaje przeciw podobnemu oskarżeniu, przysięga na wszystkie bogi, krzyczy, że jest uczciwym człowiekiem. Gdy ludzi uspokoił, a ci śmieją się z przypisywanej mu potworności, wówczas on ją wykonywa! Oto jego postępowanie."

Biedna Francya, jeśli dostanie się w ręce takiego człowieka.

Pogłosce o zawarciu konkordatu między rządem ruskim a Watykanem *Journ. de St. Peter.* zaprzeczył.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

„Szósty." — W 20 lat po śmierci. — Pamięci Kraszewskiego. — Nowy dziennik. — Do Rzymu.—Pius IX. — Nasze zamiary.—Przemysł domowy.— Wielki przemysł.—Z wystawy obrazów.— Z teatru —Skarceni deputowani. — Dr Czyrniański.

Kto na ciebie kamieniem, ty na niego protokółami komitetu Mickiewiczowskiego — a odwrócona ta sentencya może przerazić bardziej, niż barbarzyńskie „ząb za ząb." Uchwała komitetu — z którą już *Prawda* poznajomiła czytelników— uszczęśliwiła p. Rygiera; w turnieju konkursowym i po za szrankami „szósty" odniósł zwycięztwo i uwieczni pamięć Mickiewicza.

Drobną tę wzmiankę z mozołem dobywamy z pamięci; głowy nasze mimo mądrego urządzenia, zwanego kręgosłupem, zwisły ku ziemi a wszystko, co w nich mieściło się, przygniecione granitem i marmurem.

Zdawałoby się, że po pomnikach narodowym i rodowym, pomysły już wyczerpane; zdawałoby się, że dziesiątki pokoleń śmiać się będą w wolnych chwilach z naszej niezdarności i ospalstwa; że ośmieszeni tokiem sprawy pomnika, u stóp jego polężem w wieczystem upokorzeniu.

Pozory łudzą! W chwili najwyższego przesytu, zjawia się mąż opatrznościowy, który upodobawszy sobie w zieleni błoń pozamiejskich, oświadcza miastu gotowość wystawienia tam własnym kosztem przynajmniej stu znakomitych—w marmurze. Ofiara to wielka a zasługa zacna, tem bardziej, że p. Jordan ujmuje radzie trudu, zastrzegając sobie wyłączne prawo pasowania na znakomitości. Szkoda, że jeden warunek stanowczo zniechęca do sławy: oto dopiero w 20 lat po śmierci dowiedzieć się można u tego pana, czy przeszłość nieboszczyka nadaje mu prawo stania na błoniach zamiejskich. Zdaje się, że coraz mniej słyszeć będziemy w Krakowie staropolskie: „sto lat zdrowia!"

Biuściki te kształcić mają zmysł estetyczny u młodzieży rzemieślniczej; dlatego radzi p. J., aby z pawilonu wystawowego urządzić restauracyę.

Na takie rzeczy mówią u nas po polsku: *tableau*!

Między wybrańcami nie ujrzymy Kraszewskiego; ten sam Kraków, który niedawno handlował medalikami z jego podobizną, dzisiaj obrzuca błotem pamięć jubilata, na którym zrobił doskonały interes. Komitet, złożony przeważnie ze studentów, postarawszy się o deborowy program, urządził wieczór ku czci Kraszewskiego — sala była pustą; obstalowano nabożeństwo żałobne — w oburzeniu świętem mijano kościół, a dyrektor gimnazyum, zabronił uczniom udziału... w modlitwie. Znaleźli się gorętsi, nieposluszni—skarcono ich przykładnie. Kraszewskiemu przypisują przekupki niepogodę, a na Skałce w grobach zasłużonych co północ straszy duch nieboszczyka; wierni też dopominają się przeniesienia zwłok na cmentarz ogólny.

Wiedzieć a odgadywać — to różnica. Wiem, że był jarmark na konie, ale nie odgadnę, dlaczego *Czas* publicznie poblogosławił *Kuryera krakowskiego* i polecił go dobrze myślącym; wiem, że Wisła potrzebuje regulacyi, ale nie odgadnę, ku jakiej potrzebie urodziło się nowe pismo polityczno-ekonomiczne p. t. *Głos polski*. Doprawdy, kraj nasz nieszczęśliwy, jak Hiob, ale od niego cierpliwszy, a jeżeli pismo, które wzięło za cel interes własny i zatrudnianie drukarni, pocznie chylić się ku upadkowi, znajdzie się mąż opatrznościowy, który hojnym datkiem kupi sobie prawo drukowania własnych banalności.

Może to opłaci się lepiej, niż kupowanie łozy na własną skórę; nie myślę nawiązywać do tego pielgrzymki do Rzymu, ale wypada wspomnieć o niej. Wśród uroczystego ceremoniału i głosu „Zygmunta" ruszył długi pociąg z pątnikami. Polacy, rusini, ormianie pod wodzą swoich pasterzy, powieźli puste głowy i pełne trzosy, by jedne i drugie złożyć kornie u stóp ojczyma chrześciaństwa. Towarzyszył im żal szczery, żal serdeczny, żal bardzo wielki, zamącony śmiechem na widok kilku pań w kutach pątniczych. Klasztory żebrzące wystąpiły z olśniewającymi podarkami, lamy złotolite, klejnoty wysokiej wartości okalały skromny napis jałmużników. Równocześnie z wyruszeniem pielgrzymów, obudziła się u pozostałych chęć uczczenia pamięci Piusa IX. Przypomniano sobie, że po pożarze Krakowa on pierwszy pospieszył z pomocą, że na spalony Miechów przysłał wysoką sumę, że utworzył w Rzymie schronisko dla polaków, że przyjaźnie zajmował się ich dolą, że nie lubił jezuitów, tak jak dzisiaj jego biskupi nie lubią, a nawet, że pomnik wykonany za grosz uzbierany w polskim narodzie, stoi w sieni domu kapituły. Dlaczego teraz mimo starań i próśb, władza kościelna nie pozwoliła wprowadzić go na Wawel, nie wiem a zgadywać nie chcę, bo... bo odgadłbym może. Podwojenie starań i gorliwe zajęcie się pomnikiem — ach, te pomniki — jest zamiarem interesowanych.

Gdyby zamiary nasze nie wywodziły się od innej miary, mniej byłoby komisyj i podkomisyj, ale za to więcej pożytku. Był zamiar wystawienia kosztem kraju magazynów zbożowych, ale przez czas narad „specyalnych" w wydziale krajowym—wystawił je przedsiębiorca; był zamiar kupienia Zakopanego i utworzenia stypendyów— kupił Zakopane p. Goldfinger i trzeba było dopiero poruszenia tej sprawy w prasie zagranicznej, by unieważniono kupno. Na razie cieszmy się powodzeniem naszych koronek i kilimków na wystawie w Glasgowie; anglicy poznali się na nas, wprawdzie to tylko „ręczna robota," ale dziś jedyna

---

Hr. Scibor.

Za śmiało pan twierdzisz.

Justyn.

Gdyby pan rozmawiał o Wiszarze nie z moim ojcem i Wydmuchalskim, ale tylko ze swojem sumieniem, odezwałoby się ono jeszcze śmielej.

Hr. Scibor.

Młody panie, moja głowa nie jest puszką, w którą miłosierni przechodnie wrzucają uczciwość i rozum groszami.

Justyn.

Wystarczy mi pańskie poważnie dane słowo: czy sprzysiężenie przeciwko Wiszarowi uważa pan hrabia za godziwe?

Hr. Scibor.

Uważam je za środek ostry, ale konieczny i społecznie usprawiedliwiony.

Justyn.

I pan sądzi, że ten człowiek powinien być zgubionym i zniszczonym?

Hr. Scibor.

Nie — tylko przekonanym.

Justyn.

Zaiste, wspaniały sposób dowodzenia komuś słuszności przez ściskanie gardła.

Hr. Scibor.

Jest to metoda wyłącznie ojca pańskiego. Ja czekałem chwili, kiedy Wiszar zobaczy następstwa swego błędu i właśnie przyszedłem tu, ażeby go od nich uchronić.

Justyn.

Jak?

Hr. Scibor.

Kupię tę fabrykę.

Justyn.

Czas wybrany dobrze — można ją nabyć bardzo tanio...

Hr. Scibor.

Nawet panu nie przystoi ten przygryzek godny zębów mlecznych. Ja nie umiem podstawiać mojego garnuszka pod pękniętą cudzą beczkę. Dam Wiszarowi za fabrykę tyle, ile ona go kosztuje, a jeżeli pan zechcesz mi pomódz w tem kupnie, jeszcze cię wynagrodzę za pośrednictwo.

Justyn.

Panie hrabio, pomimo że tak szorstko oprysnąłeś się gniewem, proszę, wybacz mi niestosowną przymówkę, której bym sobie nie pozwolił, gdybym zdołał opanować ból, coraz wścieklej pastwiący się nade mną. Stoję tu szarpany obawą, czy Cecylia nie odtrąci mnie, niepewnością, czy żyć będzie, a jej brat prześlizne się między sztyletami, zwróconymi ku niemu przez ojca mojego. Jedyną moją siłą dla bronienia ich jest bierna życzliwość, jedynym orężem — skarga; czegóż z tą niemocą dokażę? Pan hrabia zjawia się jak zbawca...

Hr. Scibor.

Dla pana Wiszara miałem zawsze sympatyę, o ile mi na nią pozwalała różnica zasad i dążeń; z ojcem pańskim pójdę przeciw niemu tylko do tego punktu, do którego mnie powinność obywatelska doprowadzi; szlachetne uczucia pańskie należycie oceniam, postaram się więc wydobyć Wiszara z bagna, w które wpadł nieopatrznie, biegnąc za zwodną mrzonką.

Justyn.

Panie hrabio, jakże wspaniałomyślnym być umiesz, a dobroczynnym być możesz... A, Wiszar nadchodzi (*Wiszar zbliża się spiesznie*).

SCENA V.

Ciż i Wiszar.

Wiszar (zadyszany).

Chodź pan... jeszcze cię pamięta, ale nie pozna. Chora... bardzo chora... prawie nieprzytomna.

Justyn.

Nie, ona nie umrze, wyzdrowieje, zmartwychwstanie... Ja ją dźwignę, ja jej chorobę przebłagam... Pójdę sam... Pan hrabia życzy sobie porozumieć się z panem...

Wiszar (do Scibora—gdy Justyn oddala się).

Przepraszam... jestem rozbity... siostra moja ukochana... Pan hrabia widzi, że nawet nie mogę się zdziwić obecnością pańską u mnie.

Hr. Scibor.

Szanuję boleść pana i usuwam się. .

Wiszar.

O, tak, cierpię. Chociaż po co ja tam wrócę, kiedy ją straszę zrozpaczoną twarzą...

która Galicyę poleca. Przemysł domowy pod kierunkiem umiejętnym, zakreśla coraz większe koło i pokazało się, że nietylko w Schwarzwaldzie są zdolni pracownicy śród ludu. Bazar krajowy służy za rzetelnego pośrednika, a licznemi zamówieniami zachęca małych przemysłowców do pracy nie na marne.

Słowo o wielkich przemysłowcach. Wielką garbarnię, którą właściciel z powodu znacznych strat musiał opuścić, przemieniono na kościół dla oo. Zmartwychwstańców. Żałowano powszechnie garbarni, a chociaż nikt prócz ojców nie czuł potrzeby tej nowej świątyni, dawano grosz na jej urządzenie. Mimo stylu i śpiewów rzymskich, kościół nie miał doborowej klienteli, która arystokratycznego Boga widziała tylko w jezuickim kościele św. Barbary. Ale nadszedł post, a z nim i konferencye filozoficzno-teologiczne dla pań, dla panów — za biletami; wyrobiło się spółzawodnictwo między ojcami i pewnego dnia kościół Zmartwychwstańców zapełnił się wonią heliotropu i juchtu. Przy drzwiach świątyni braciszek odbierał zaproszenia i uprzejmym ruchem wskazywał miejsca, w głębi ojciec X. „trzymał cercle,“ a za chwilę inny ojciec z kazalnicy rzucał perły wyjęte z ust doktorów kościoła między pobożne *comtessy*. Nikt nie zrozumiał traktatu, ale zachwycano się ojcem; prześlicznie mówił, rozkoszny głos, szczególnie w nizkich tonach. Wtem zjawia się braciszek i uprzejmym ruchem wskazuje ku jednej ścianie kościoła: spojrzenia wszystkich biegną za jego pieszczoną dłonią i z piersi dostojnych wyrywa się okrzyk zachwytu, niespodzianki radosnej, Co to było? Nie ołtarz, ani nadzwyczajne dzieło sztuki kościelnej, to był... bufet. Elegancka zastawa z samowarem, filiżankami, ciastami i cukrami, więc bardziej niż dłoń pieszczona, silniej niż nizkie tony—i długą chwilę rozkoszna francuzczyzna i dźwięk filiżanek odbijają się o mury dawnej wielkiej garbarni.

Panem et circenses! — a oo. jezuici nie wpadli na ten pomysł.

Równocześnie z tem widowiskiem przeprowadził się arystokratyczny Bóg do kościoła Zmartwychwstańców.

Z przechadzki po salonach wystawy obrazów nie wynieśliśmy nic ciekawszego nad znużenie. Nieudane prace na mdły temat, gęsto pokrywają ściany, a malarze młodzi przeganiają się w liczebnej twórczości, bez pożytku i bez artyzmu. Merwart, Bakałowicz, Axentowicz i Dulębianka nagradzają zawód na Wędrychowskim, Wodzińskim i innych. Dział historycznego malarstwa w okazy nieobfity, powołani nawet nazywają go niewdzięcznym i malują więcej przynoszące zysku portrety. Siłą, kolorytem, układem i gruntownemi studyami odznacza się wybitnie Jezierskiego „Zabrzeziński“; pochwały, których nie szczędzono młodemu artyście, zachęciły go do dopełnienia tej pracy, widzieliśmy w pracowni „Glińskiego“ już na wykończeniu.

Nic częstszego nad to, że uczniowie przejmują część zalet i wad swego mistrza; ale jeżeli naśladowanie tych ostatnich wypadnie ciężko, klocowato, nikt nie przypomni mistrza, a wszyscy obraz zganią. Odnosi się to szczególnie do niepohamowanej żądzy ucieleśniania tego właśnie, co niema ciała. Stoimy przed obrazem Unierzyskiego z podpisem „Tentacya,“ po polsku zapewnie „pokusa.“ Woskowo-trupia zakonnica, na tle marmuru i zielono-zgniłej pleśni, siedzi niewygodnie, pogrążona przez malarza w bezmyślności. Naprzeciw niej, o krok jeden, stoi obnażony młodzieniec, przez biodra przewiązany woalką, której końce torują sobie drogę przez krzewy w niemożliwych wykrętasach. Niebo bardzo niebieskie, drzewa bardzo zielone — i oto cały obraz, który rzeczywiście mocno obraził zakonnicę.

Inna próba tego rodzaju wypadła pomyślniej w „Zaduszkach“ Pruszkowskiego, a chociaż ucieleśnianie nie wytrzymało krytyki, zostało przecież wrażenie artyzmu i poezyi. Płótno to oglądaliśmy w salach nowo zawiązanego klubu malarskiego, który urządza nieustającą wystawę ładnych drobnostek i żartobliwych szkiców.

Polska sztuka na wystawie wiedeńskiej mało ma przedstawicieli; wyliczają Kossaka, Rybkowskiego i Ajdukiewicza.

W teatrze widowiska benefisowe zda się nie będą miały końca: jeśli idzie tu o zasiłek dla aktora, rzecz chwalebna; jeżeli zaś o reklamę i robienia go naszym niezrównanym, rzecz nieroztropna. Publiczność przywykła uważać benefis za uroczystość, na której darzy się uznaniem zasłużonego artystę; urządzanie podobnych uroczystości miernym i najmierniejszym, zakrawałoby na nadużywanie cierpliwości i dobrej wiary.

Benefisy pp. Sulkowskiej (*L'Abbé Constantin*, Halévego, w tłom. „Ksiądz proboszcz“) i Hoffmanowej (*Myszka* Pailleronа) zyskały powodzenie. Równie zasłużony benefis mogłyby mieć dekoracye naszej sceny; jedne i te same stosowane do sztuk rozlicznych, przez bardzo długie lata, słuszniej mogłyby rościć sobie prawo, niż pierwszy lepszy chłopczyk, któremu za cały artyzm i naukę wystarczyło zapewnienie znajomego, że ma talent.

Mimo że teatr robi próby wprost przeciwne do szkoły malarskiej, nie udają się i zamiast uduchowienia, wychodzi odwrotność. O widowiskach karłów niemieckich, któremi długi czas darzyła nas owa szkoła narodowa, mówić już nie warto.

Więcej zabawne przedstawienie popołudniowe odbyło się w auli uniwersytetu. Senat odziany w togi i birety udzielał nagany trzem akademikom, którzy mimo groźby pojechali do Wiednia w sprawie wniosku ministra oświaty. Formie stało się zadość, a władza uniwersytecka wyszła z honorem.

Ten sam uniwersytet dzisiaj w żałobie; zmarł nagle profesor chemii dr. Emil Czyrniański, znany z powodu zasług, jakie położył w uproszczeniu słownictwa chemicznego, autor nowej teoryi chemicznej, do której również zastosował wzory graficzne, ulatwiające pojmowanie chemicznych działań. Teorya ta w swoim czasie obudziła żywe zajęcie i wymianę zdań, na czem znacznie skorzystał zakres nowszej chemii.

Mor.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Julian Łętowski. *Nowocześni bohaterowie.* Nowele i opowiadania. Warszawa, 1888.

Temat „ojca zadżumionych“ jest nieprzebranem źródłem wzruszeń i ktokolwiek potrafi go wyzyskać, może z pewnością liczyć na powodzenie. Jeno zarazie powinien dać pokój, z granic Syryi przenieść się gdzieś bliżej kraju — bo toby już zbyt trąciło naśladownictwem; ale jeśli tylko umie odmalować sieroctwo drzewiny, której wicher jesienny stopniowo, jedna po drugiej wszystkie łamie gałęzie i zostawia

---

Hr. Scibor.

Dla samej chorej powinieneś pan być spokojniejszym i nie poddawać się rozrzewnieniu.

Wiszar.

Rzeczywiście, sam to czuję... Co pan hrabia rozkaże?

Hr. Scibor.

Nie pora na takie sprawy, z jaką ja tu przybyłem.

Wiszar.

Zostań pan i odurz mi, jeśli zdołasz, głowę inną myślą. Potrzebuję odpocząć w tej torturze.

Hr. Scibor.

Nie teraz, nie dziś...

Wiszar.

Więc pan nie chcesz mi pomódz?

Hr. Scibor.

Taki zamiar mnie do pana sprowadził.

Wiszar.

A... tem lepiej. Mów pan, proszę szczerze.

Hr. Scibor.

Sprzedaj mi pan swoją fabrykę.

Wiszar.

Fabrykę... moją... mam sprzedać? Czyś pan to powiedział dlatego, ażeby mną wstrząsnąć, ażeby smutek we mnie zagluszyć? Dobry pomysł. Więc się targujmy... Ale nie, środek zbyt drażniący... Poszukaj pan innego.

Hr. Scibor.

Najlepszym będzie pozostawienie pana w spokoju. Pan jesteś zmęczony.

Wiszar.

No, to kupuj pan fabrykę.

Hr. Scibor.

Panie Wiszar, pragnę ci zastąpić przyjaciela i radzę, zawładnij sobą, nie rozstrajaj się tem szyderstwem z mojej propozycyi, która jutro, przy trzeźwiejszej głowie, wyda się panu nietylko poważną, ale i korzystną. Do jutra tedy (*odchodzi*).

Wiszar.

Zatem pan hrabia rzeczywiście chce nabyć moją fabrykę?

Hr. Scibor.

Zdaje mi się, że po namyśle znajdziesz pan w sobie odpowiednią tej mojej chęci potrzebę.

Wiszar.

Potem podoba się panu hrabiemu zegarek Wiszara, potem jego kapelusz, a potem wreszcie grób jego siostry. O, wy, ludzie, którzy niczego nie kochacie i wszystko radzibyście kupić! Czy pan masz do sprzedania swój herb, swój tytuł, swoją dumę? A mnie tak zaczepiasz pełną kiesą, jak gdyby ta fabryka nie była moim herbem, tytułem i dumą, lecz kupą cegieł niecierpliwego spekulanta.

Hr. Scibor.

Pan musisz być chory; miotasz we mnie słowami obelżywemi, jak garścią żwiru, który rani, ale się nie klei.

Wiszar.

Jeśli pan posiadasz cokolwiek, czem nie handlujesz, jesteś zuchwałym, wymagając od innych, ażeby handlowali wszystkiem. Ta fabryka — to mój kościół.

Hr. Scibor.

Wolno tak nazwać nawet oborę, jeśli kto się uprze.

Wiszar.

Wolno, gdy wasze bożyszcza przy żłobach stoją.

Hr. Scibor.

Żałuję, że dałem się panu wciągnąć do tej niedość przyzwoitej rozprawy; a ponieważ mój wiek i stanowisko zobowiązują mnie bardziej, niż pana, do umiarkowania i powagi, więc bez pamięci na pański szturm do mojego honoru, wytłomaczę się tylko z czystości źródła propozycyi, która pana tak oburzyła.

Wiszar.

Zbyteczne.

Hr. Scibor.

Dla pana, ale nie dla mnie. Oświadczyłem to przy pierwszej rozmowie naszej, że ustrój fabryki pańskiej uważam za zabawkę w naszych stosunkach ekonomicznych bardzo niebezpieczną i że będę się starał uniemożliwić ją panu. Łącznie z Kreislerem i innymi przemysłowcami uczyniliśmy to, zniżając cenę wszelkich gatunków papieru, urządzając robotnikom naszym loterye, ograniczając kredyt pański w bankach i tak dalej. Ażebyś pan jednak nakoniec uwierzył, że mną powodowały względy na dobro ogólne, a nie osobiste, przyszedłem w chwili, gdy nad panem wisi bankructwo, z go-

nagi, samotny pień—wtedy niechybnie trafi do serca tkliwszych. Dola sieroca w literaturze naszej odgrywa rolę szczególną i każdy jaskrawszy jej obraz wskrzesza w wrażliwej duszy wszystkie zamarłe bóle, swoje i nie swoje, osobiste i powszechne, tak iż piękny poemat Słowackiego niejednemu, jak wiadomo, wydał się alegoryą najszerszego znaczenia...

Tę to łzawą strunę potrąca p. Łętowski w utworze największym z pięciu, składających się na zbiorek niniejszy. Obrał sobie za bohatera starego szlachcica, który przykuty reumatyzmem do czterech ścian pokoju, boleśnie rozpamiętywa życie swoje, co się zapowiadało wesoło, gwarnie i pogodnie a kończy w opuszczeniu i bezporadności, za jedyną osłodę mając parę dawnych, wiernych służących, towarzyszów doli i niedoli. Był niegdyś szczęśliwym synem rozumnego ojca, szczęśliwym małżonkiem kochającej go kobiety, dumnym ojcem ubóstwianej córki, poważanym w sąsiedztwie obywatelem, zamożnym rolnikiem, dobrodziejem biedniejszych, a teraz z owych skarbów moralnych nie zostało mu nic. I któż zawinił? Los i dzieje. Miał przyjaciela, poczciwego letkiewicza, którym się opiekował i któremu pomagał procesować się o schedę, tak możliwą do odzyskania, jak gruszki do zaszczepienia na wierzbie. Ratował go w biedzie bezustannie, pomógł wreszcie sprowadzić z Francyi żonę jego, która tam z synem daremnie czekała złotych owoców procesu, i stamtąd zresztą będąc rodem, śród swoich wolała szukać gościnności. Gdy przybyła do ojczyzny swego męża, znalazła serce otwarte na oścież w domu jego druha, zamieszkała tam i z żoną jego najściślejszą przyjaźnią się połączyła. Rozpoczął się istny raj dla obu rodzin, letkiewicz został spólnikiem w gospodarstwie i pożytecznym współpracownikiem. Błogiego spokoju i zadowolenia nic im nie zamąciło, prócz troski o syna jego, który w obcym dla siebie kraju polskim zaaklimatyzować się nie mógł, i nie chciał. Dumny i krnąbrny nikomu kierować sobą nie pozwalał, mowy francuzkiej porzucić żadną miarą nie zgadzał się i, słowem, był utrapieniem dla całego kółka, które przecież kochało go za urodę, temperament rycerski i dużo innych osobistych zalet i powabów. Z czasem jednak w sprawę tę wdał się amor. Zapalił serce nieugiętego chłopca miłością dla córki dziedzica, w niej samej zbudził gorącą wzajemność, zajączki francuzkie rychło z głowy mu pierzchły, i znikła ostatnia chmurka z słonecznego widnokręgu, pod którym kwitnęło życie w szlacheckim dworze; przybył, owszem, nowy promień radości— nadzieja bliższego zbratania się obu rodzin.

Ale złe duchy nie spały. Zakotłowało się w kraju i zaburzyło. Nadeszły wieści niepokojące, co rozpalały młodzieńcze wyobraźnie i skrzydeł ramionom dodawały. W młodzieńcu, co tak niedawno jeszcze tęsknił za Zachodem rodzinnym, przemówiła krew ojca i zakipiała. Nie oparł się szlachetnej pokusie i wyruszył za innymi. Nikt go powstrzymywać nie śmiał i nie próbował.

Z jego odejściem nastały dni żałoby. Z pola bitwy brakło wieści, więc smutek zasiadł na czołach wszystkich domowników a najsrożej rozgościł się w serduszku dziewczyny. Zaczyna usychać jak kwiatek. Wreszcie zmiłował się nad nią ojciec i pojechał w świat szukać zapaleńca. Po wielu trudach i mozołach odnalazł go — na łożu szpitalnem, w drodze na Wschód daleki, okrytego niezabliźnionemi ranami i już prawie dogorywającego. Jeszcze dni parę i anioł śmierci zjawił się. Iskra życia tlejąca w suchotniczem, zmarniałem ciele zagasła.

Z pogrzebowej tej wyprawy wrócił ojciec biednego dziewczęcia z kłamstwem na ustach. Nic wyjawił nikomu okropnej tajemnicy. Ale to nie pomogło. Dziewczyna nikněła w oczach, aż z tęsknoty i bólu skonała. Matka nieszczęśliwego powstańca uciekła z niegościnnej ziemi do swoich; potem kolejno powymierali wszyscy drodzy, a ten co pod jednym dachem chciał tyle szczęścia skupić, został sam.

Właściwie ta tylko historya, tak niewyszukana i smutna, zasługuje na bliższą uwagę i *Nowoczesnym bohaterom* wartość nadaje. Opowiedział ją autor płynnie i zajmująco, zachowawszy dobrą charakterystykę tła szlacheckiego i okrasiwszy nieco w momentach weselszych wątku, miłym humorem. O ile jednak elegia sama jest udatną, o tyle ramy, w które ją wstawiono, wysoce naciągane. Bo oto wyobraźcie sobie, że ktoś krzyknąwszy na służbę (by go przysunęła do pieca), w ciągu paru chwil, upływających do czasu jej zjawienia się, zdołał dumaniem wydobyć z przeszłości cały żywot swój, z najdrobniejszymi szczegółami i żywot wszystkich ukochanych, czyli to, co w książce zapełniło z górą sto stronic — tak chyżą myśl wyobrazić sobie, rzecz niesłychanie trudna. Być może, iż w wieku dwunastym, za sprawą wynalazków, wróżonych przez Robidę, procesy myślowe tak pospiesznie będą się odbywały, ale tymczasem powieściopisarze powinniby nowatorstwa tego unikać, jeżeli nie chcą, jak p. Łętowski narażać się na to, że u czytelników łańcuch wzruszeń przyjemnych i estetycznych kończy się uczuciem pewnego niesmaku.

Pozostałe nowele z żałosnych wspomnień przenoszą nas odrazu w krainę spraw pospolitych i maluczkich, albo też całkiem brudnych. Taki *Josek Gesundheit i S-ka* nie jest niczem innem, jak tylko historyą żydka, który z nędzy i opuszczenia dzięki sprytowi do szwindlu i złodziejstwa wyrobił się na bardzo porządnego obywatela i mógł z naładowanym nieswoimi pieniędzmi pugilaresem przejechać się do Ameryki. Kazuistyka oszustwa i geszeftu jest nieskończona. Jakiekolwiek wykręty, do bogactwa wiodące, kto wymyśli, zawsze będą miały pewne widoki prawdopodobieństwa. Więc i opowiadanie naszego autora fabułą swą trafia do przekonania, chociaż skądinąd jest kompozycyą bardzo słabą. Co w tym rodzaju stanowić powinno jądro i cel główny intuicyi pisarskiej, mianowicie duchowa charakterystyka postaci, w *Josku Gesundheicie* nie uderza ani trafnością, ani nawet wiernością. Na tle wybornych szkiców i całych studyów psychologicznych, poetyzujących lub ośmieszających typy żydowskie, a których tak wiele w literaturze naszej z lat ostatnich — ta sylwetka jest mało wyrazistą, pomimo iż uposażoną została w najprzeróżniejsze gatunki łotrowstwa, że umie kraść od samego dzieciństwa i okrada nawet jedynego swego dobroczyńcę. Nagromadzenie łajdactw stanowczo nie na dobre wyszło utworowi, gdyż zamieniło go w karykaturę. A prócz tego autor objaśnia je pobudkami wewnętrznemi, które w rzeczywistości nigdy chyba nie działają. Bohaterem ma niby rządzić chęć pomszczenia się na tych, co go dawniej gnębili, jakaś żądza powetowania sobie doznanych cierpień! Widać stąd wprawdzie, że nowelka nie jest tendencyjną wycieczką przeciw nienawistnemu plemieniu, ale i obserwacyą poważną, ważącą przyczyny i skutki — także nazwać jej trudno. Cóż bowiem ... po co ludzić się? Proletaryusz żydowski, je-

---

towością nabycia tej fabryki za cenę jej kosztu. Racz pan wskazać, jaka w tym zamiarze tkwi niecnota, która usprawiedliwia twoją zgrozę?

Wiszar.

Czy ten ogół, którego gospodarstwa tak pan ze spólnikami strzeżesz, wezwał was do obławy na szkodliwego dzika, a teraz chwali celność waszych strzałów? Czy on was upoważnił do polowania na Wiszara? Skąd pan miałeś dowód, że nie dogadzasz jedynie swojemu i swoich towarzyszów samolubstwu?

Hr. Scibor.

Z głębokiego przekonania i rozumienia interesów kraju.

Wiszar

Ja mam także przekonanie i rozumienie tych interesów — inne. Ale moje nieważne, błędne i szkodliwe, bo moje: wasze zaś ważne, słuszne i pożyteczne, bo wasze. Nie dmuchaj daremnie, panie hrabio, na Wiszara, on nie jest dziecinnym wiatraczkiem. Pan nie przyszedłeś po to, ażeby mnie wyciągnąć z kłopotów, lecz własne sumienie z tajemnych zgryzot. Nawet siebie nie obałamuciłeś wykrętami; przedarł się przez nie głos sumienia, które ci powiedziało, że czynisz źle, żeś zawarł spółkę na krzywdę bliźniego, że przyłączyłeś się do wyprawy lisów na kurnik, że twoja korona arystokratyczna rdzewieje w piwnicznej kuźni fałszerzów monety obywatelskiej. Pan jesteś lepszym od nich; puszczasz tę monetę w obieg, ale ją grubiej srebrzysz i złocisz, a przyjmującym dodajesz nieco prawdziwej. Nie ratuj tedy mnie, ale siebie. Fabryki nie sprzedam.

Hr. Scibor.

Panie Wiszar, będę mówił do ciebie jak ojciec, który o krnąbrności dziecka zapomina, tylko o jego niedoli pamięta: odstąp mi...

Wiszar.

Dosyć, panie hrabio, mój ojciec, ksiądz Makary, tę fabrykę pobłogosławił. Patrz pan... (*widać grupy robotników*) zbierają się gromadki moich poczciwych robotników dla wysłuchania obrachunku, który zawiedzie ich oczekiwania. Dziś im oznajmię tę przykrą nowinę, oświadczę, że nie otrzymają żadnych zysków, że ponieśliśmy straty, że na zrównoważenie ich nie posiadam jeszcze pieniędzy, że w kantorze czeka nasłany przez waszą spółkę lichwiarz z wekslami— niech oni proszą, rozczarowani odpowiedzą panu, czy mam sprzedać tę ich pracownię.

Hr. Scibor.

Jesteś pan pewien, że cię nie opuszczą?

Wiszar.

Jak własnych palców.

Hr. Scibor.

W takim razie nie sprzedawaj pan fabryki (*odchodzi*).

SCENA VI.

Wiszar i robotnicy.

Robotnik (*w towarzystwie kilku innych*).

Pan Morski nie kazał nam odchodzić do domu, tylko zaczekać na rozdział zysków.

Wiszar.

Na wysłuchanie rachunku z obrotów fabryki.

Robotnik.

Po ile to każdemu wypadnie?

Wiszar.

Zaraz, zaraz — dowiecie się wszystkiego.

Robotnik (*z drugiej grupy*).

Czy wypłata dziś się odbędzie?

Wiszar.

Tygodniowa? W sobotę, dziś czwartek.

Robotnik (*do swych towarzyszów*).

Widzicie, że pojutrze, razem z tygodniową. Dziś tylko przeczytają, co się komu należy.

Robotnik (*z trzeciej grupy*).

A jeżeli, proszę pana, kto był chory, czy mu się za ten czas z zysków wytrąci?

Wiszar.

Nie nudźcie mnie temi pytaniami—każdy będzie obliczony sprawiedliwie (*chodzi niespokojny*).

Robotnicy.

Pan Morski, pan dyrektor... (*Morski nadchodzi, między robotnikami zjawia się Okwił i Rybałt*).

(D. n.)

śli okpiwa i grabi, to nie przez złość i chęć szkodzenia, a po prostu z zamiłowania dla sztuki, z tęsknoty za złotem, z bezwiednego naśladownictwa i popędu, nie miarkowanych zdrowem wychowaniem i odpowiednią reakcyą społeczeństwa. Nie radziłbym szukać Shyloków w dzisiejszych czasach i w norach nędzy żydowskiej — zostawmy to Szekspirowi i... poezyi.

Daleko większa wprawa w postrzeganiu i układaniu cech znamiennych danego tła— wyziera z reszty opowiadań. Jest ich trzy: *Imieniny Marcinka*, *Bieda* i *Wawrzyńcowie*. Wszystkie są jak gdyby skrawkami jednego i tego samego obrazu: odzwierciedlają sferę prostaczą, rzemieślników miejskich z ich wrodzoną uczciwością z jednej, a nałogami z drugiej strony. Dwa pierwsze sztychy nawet za bajką nie gonią, a są wprost studyami z natury. Jeden dokładnie portretuje terminatora szewckiego, owego paupra z parą kamaszy w ręku, co raźno wygwizduje po ulicach i podrzuca swe łapcie, zuchwale i komicznie zarazem roztrącając przechodniów. Z pod pióra autora postać ta wyszła sympatycznie i subtelnie. Czyni on nas świadkiem całodziennego życia malca, pokazuje, jak odbiera szturchańce od majstra i czeladników, jak nad ranem wybiega boso i nago, by przymocować oderwaną okienicę i podczas tego kaleczy sobie fatalnie nogę odłamkiem szyby, jak w towarzystwie wiernego i swawolnego Kruczka pędzi na miasto odnieść naprawione buty, jak płacze na widok ojca murarza, którego niewinnie z bójki taszczą do „ula,“ jak za powrotem wreszcie widok jego obrzękłej nogi budzi litość w swych chlebodawcach itd. Cały warsztat szewcki odfotografował p. Łętowski zręcznie i życzliwie.

Bieda jest wizerunkiem nieco niższego szczebla. W ubogim domku, mieszczącym aż kilka stadeł, przychodzi na świat nowy obywatel po to, ażeby „nakrzyczeć się, narobić biedy“ i w parę godzin umrzeć. Scenka to rodzajowa z pewną przymieszką smutku i współczucia dla tych, co ją odgrywają.

Ten sam wreszcie nastrój liryczny z pewną dozą łagodnego humoru powtarza się w *Wawrzyńcach*, bardzo udatnie skreślonej powiastce o murarzu, co się regularnie z końcem tygodnia upijał, a obity przez żonę, zwykłą w takich razach herod-babę, wołał: „Ej babo!.. zdaje mi się, żeś ty mnie uderzyła!“ Oboje zresztą są ludźmi bardzo pracowitymi, pomimo swych narowów i śmiesznostek. A fizyognomie ich stają się jeszcze wyrazistszemi, gdy zaręczają swą córkę z dzielnym kolegą starego, wieńcząc romans naiwny i prostaczo-czuły, z poczuciem prawdy i sprzecznych jego czynników przez autora odmalowanych.

Dla wszystkich typów ostatniej kategoryi p. Łętowski umie wzbudzić w czytelniku prawdziwą życzliwość. Snadź sam posiada ją w niemałej mierze i rysuje je szczęśliwie, językiem gładkim i potoczystym, z werwą, wolną jednakże od wszelkich motywów silniejszych. Zazwyczaj też, z wyjątkiem pierwszej powieści *Ciężkie czasy*, udaje mu się nawiązać osnowę dosyć naturalnie, niepostrzeżenie, jak gdyby mimowoli z gawędy np. o pogodzie wypływały, co stanowi niepoślednią zaletę.

W końcu wartoby zapytać, czy dla kilku typów o bardzo ograniczonej roli przedstawicielskiej, z których nadto jeden należy do przeszłości oddzielonej od nas całą ćwiercią wieku, inny jest noworodkiem, żyjącym całą godzinę, a kilka innych wyobraża tylko odmiany jednego gatunku — tytuł *Nowocześni bohaterowie* nie jest zbyt powszechnym i zbyt... obiecującym.

Cezary Jellenta.

Z NIEMIEC.

Kwiecień.

Nowy kierunek w piśmiennictwie niemieckiem. — „Das Magazin für die Litteratur des In- und Auslandes.“ — Bleibtreu. — Realiści niemieccy a Zola. — Zola podbija Niemcy. — Brandes o Zoli. — „Die Gesellschaft“ jako główny organ nowej szkoły literackiej.

Za czasów Goethego i Schillera traktowano w Niemczech literaturę z czcią jakąś patryarchalną, przypominającą szacunek, jaki starożytni okazywali dla poezyi i sztuk pięknych. Pielęgnowano ją na dworach książąt, jakby w świątyniach dla niej wzniesionych. Dziś taż sama literatura niemiecka, zbliska oglądana, przypomina targowisko wielkie, gdzie kupcy potrącają się wzajemnie, krzykliwi zachwalają swoje wyroby, zacierając ręce, skoro udało im się starzyznę sprzedać po cenie świeżego towaru, fabrykat podsunąć jako kosztowną robotę ręczną. Zbyt wiele już i w samych Niemczech i u nas o tem pisano, bym wspominać potrzebował o ludziach i książkach reprezentujących ten upadek. Ale Niemcy dzisiejsze, to już nie ze wszystkiem Niemcy Pawła Heysego, Juliusza Wolffa, Pawła Lindaua. Poznały one innych bogów i innych dostały kapłanów. Co prawda, nowi ci kapłani literatury przypominają przekupniów amerykańskich, nowa wiara wjeżdża na kolosalnym wozie reklamy; ale jakżeż chcecie, ażeby na tem głównem targowisku produkcyi literackiej bez tego było coś widzianem lub słyszanem?

Literatura niemiecka odradza się. Przebywa ona nową „Sturm und Drangperiode.“ Powstają nowi „oryginalni geniusze.“ Żądają realizmu z zabarwieniem naturalistycznem; Zola jest ich prorokiem, a wszyscy wyczekują nowego Goethego, jakby mesyasza, który wiarę ich uczyni światowładczą. Przewrót ten przygotowywał się w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Bleibtreu, Conrad, Amyntos, Walloth, Suttner, Liliencron pisują od lat dziesięciu mniej więcej; sami przebywali jeszcze fazy rozmaite, rozmaitym ulegając wpływom. Nie dawniej, jak przed rokiem, ustalili swój program, uformowali się jako szkoła, znaleźli nakładcę i organ literacki.

Ruchliwy księgarz lipski, Wilhelm Friedrich, w dawniejszych już latach zrozumiał, że kierunek ten ma przyszłość przed sobą. Drukował niektóre prace Wallotha, Amyntosa, Liliencrona, nie płacąc autorom honoraryów. Wydawał od r. 1865 miesięcznik *Die Gesellschaft* pod redakcyą Conrada, pomieszczający bezpłatnie krótsze rzeczy młodych pisarzy o realistyczno - naturalistycznym kierunku. Nikt nie czytywał Wallothów, Amyntosów, Liliencronów, nikt nie prenumerował *Die Gesellschaft*. Wreszcie zimą 1886/7 nastąpił fakt, któremu nowa szkoła zawdzięcza dziś głównie swoje znaczenie. Jedno z najpoważniejszych pism literackich *Das Magazin für die Litteratur des In- und Auslandes*, przeszło w ręce Karola Bleibtreua, jako redaktora naczelnego.

Pismo to założył w r. 1832 Lehmann. Miał to być organ międzynarodowy; dla utrzymania cechy tej, literatura niemiecka była zupełnie wykluczoną z jego programu. Zwał się dawniej: *Magazin für die Litteratur des Auslandes*. Po śmierci Lehmanna objął redakcyę dr Edward Engel, znany autor historyi literatury francuskiej. Pozostał on wiernym programowi Lehmanna. Pismo zażywało wielkiego powodzenia; było organem „ogólnego związku pisarzów niemieckich.“ Dr F. Hirsch (autor podręcznika literatury niemieckiej), który został redaktorem *Magazinu* po ustąpieniu Engla, wprowadził reformę, której dawno już pisarze niemieccy się domagali: włączył doń i literaturę niemiecką, zmieniwszy tytuł na *Magazin für die Litteratur des In- und Auslandes*. Ziściło się wszakże to, czego się obawiał Lehmann: literatura niemiecka, wszedłszy wąską furtką, którą otworzył jej program Hirscha, wnet rozparła się w *Magazinie* kosztem obcych, podkopując zarazem poważny, objektywny charakter pisma tego koteryjnością, podmiotowością, jarmarczną polemiką.

Kiedy Bleibtreu zdobył organ ten dla szkoły realistycznej, oczekiwano zupełnego upadku *Magazinu*. Bleibtreu jest najgłośniejszym pomiędzy krzykaczami-apostołami nowej szkoły. Jako poeta był żywiołem fermentującym, nieokiełznanym; ani „Dies irae,“ ani trylogia dramatyczna „Vaterland,“ ani nowele jego „Schlechte Gesellschaft“ i inne nie tchnęły potęgą geniusza, na jakiego pozował w pismach swych krytycznych. Ogłosił krytykę współczesnej literatury niemieckiej i program szkoły realistycznej w broszurze ulotnej p. t. „Revolution in der Litteratur.“ Na okładce błękitną farbą uwydatniony był kalamarz, z którego sypie się wiązanka błyskawic. Treść i styl odpowiadały znakowi tej okładki. Nie było w tej robocie poważnego tonu reformatorskiego — znikoma, polemiczna aż do obrzydzenia. Bleibtreu został redaktorem *Magazinu*. A więc najprzód *Magazin* przestanie być organem związku pisarzów niemieckich; powtóre, trzy czwarte pisma tego zajmie bieżąca literatura niemiecka; powstanie organ wzajemnej adoracyi i reklamy przyjacielskiej dla młodych realistów niemieckich; realiści zwyciężą, ale pismo upadnie.

Bleibtreu jako redaktor prześcignął obawy ludzi krytycznie nań spoglądających — ale równocześnie przewyższył oczekiwania przyjaciół. Umiał on z *Magazinu* zrobić nietylko organ przyjacielski, ale wprost osobisty; lecz zarazem rozwinął skrzętną działalność, gromadził wyborne prace krytyczne, historyczne i programowe, pielęgnował w owej czwartej części literaturę zagraniczne wcale starannie, w każdym tomie walczył o nową metodę tworzenia literackiego, o nowe pole dla poety, dążył do odrodzenia piśmiennictwa niemieckiego i poezyi wszechludów. Umiał uczynić z *Magazinu* nietylko kaciełnicę, ale i miecz. Niektóre prace Albertiego, Peschkaua, Wechslera, umieszczone w r. 1887, zasługują na uwagę; niemniej artykuły Ernesta „Die moderne Litteraturspaltung und Zola,“ Steigera „Der moderne Realizmus und seine Stellug in der Weltlitteratur.“ Bleibtreu sam odzywał się kilkakrotnie, wcale jędrnie. Bardziej poeta, aniżeli teoretyk, umie on pisywać artykuły krótkie o głębszym polocie i niezwykłej potędze stylistycznej; do obszerniejszych prac krytycznych pióro jego nie doszło. *Magazin* pod redakcyą jego postradał zupełnie naukową prawie powagę, jakiej dawniej zażywał; pozbawił się do reszty objektywności właściwej organowi międzynarodowemu. A jednak oddał on literaturze światowej istotną przysługę. Było to pismo, fermentujące, polemiczne, ale przytem miało zacięcie jakieś światozbawcze; czuć w niem było zbliżający się nowy okres twórczości literackiej, widniał w niem świt nowego jakiegoś klasycyzmu literackiego nietylko dla Niemiec, ale i dla innych ludów.

Zwłaszcza literatury słowiańskie niemało zawdzięczają *Magazinowi*. Nietylko bowiem wiadomości literackie notowały wszystko co się pojawiło w piśmiennictwie polskiem i ruskiem, ale realiści niemieccy, a głównie sam Bleibtreu, podnosili często z uznaniem kierunek i cenność współczesnej beletrystyki słowiańskiej.

Rządy Bleibtreua skończyły się z marcem b. r., *Magazin* przeszedł na własność księgarni Eldermanna w Dreźnie, a redakcyę objął Wolgang Kirchbach. Nie ogłosił on jeszcze programu swego. Pierwszy numer pod jego redakcyą mało zawiera wiadomości o literaturach zagranicznych, gło-

wnie poświęcony jest rzeczom niemieckim. Smutna zapowiedź! Może będzie mniej koteryjnym, mniej polemicznym. Bleibtreu uznawał tylko siebie i swoich. Nie powinieneś mieć bogów po za mną! Brandes i Nordau, którzy zajmują obok niego uwagę publiczności niemieckiej, interesującej się prądami nowymi, byli dlań solą w oku. Szkalował ich, jak mógł i gdzie mógł; nie wspominał o ich zasługach literackich, a natomiast opowiadał o procesach ich z księgarzami. Kirchbach zaznaczył stanowisko swe, umieszczając pochlebną wzmiankę o innej pracy Brandesa, umieszczonej w *Deutsche Rundschau.*

Brandes pisze o Zoli, zdrowo i krytycznie, podczas gdy Bleibtreu i jego towarzysze tylko sławili go. Bądź co bądź, o Zoli piszą w Niemczech coraz częściej, coraz więcej. Po rozbiorze Lindaua, ogłoszonym przed paru laty w *Gegenwart*, pojawił się cały szereg artykułów i prac obszerniejszych. Świeżo też przełożono na język niemiecki wyborną monografię profesora holenderskiego Brinka. Bleibtreu i towarzysze jeszcze walczą mozolnie o uznanie; ale Zola podbił dziś Niemcy prawie tak, jak Rosyę. Nie wielbią go ślepo; ale uznają to, co w formule jego jest wiekuistem i co istotnie powinno być podstawą dla odrodzenia poezyi nowożytnej: postęp w ścisłości tworzenia.

Głównym organem realistów niemieckich zostało obecnie *Die Geseellschaft*, które nadal wychodzić ma pod wspólną redakcyą Conrada i Bleibtreua. Ulega on pewnej reformie: będzie powiększonem, a oprócz literatury niemieckiej uwzględniać też będzie piśmiennictwo zagraniczne a zwłaszcza słowiańskie. Zasługuje więc na to, ażeby rozwój jego śledzić z uwagą. O fizyognomii centralnego tego organu postępowej beletrystyki niemieckiej oraz o najnowszych utworach szkoły tej doniosę wam w liście następnym.

Ladawa.

ZYGMUNT WRÓBLEWSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Niezwykle długi szereg mogił usypał się od kilku miesięcy w naszej literaturze i nauce. Niedawno zmarł Jarochowski, a już znowu wstąpili do grobów Czyrniański i Wróblewski. Ten ostatni, badacz głośnego imienia, wielkiej pracy i nadziei, budzi tem większy żal, że umarł w sile wieku. Urodzony 1842 r., wyższe studya odbył w uniwersytecie kijowskim. Wyjechawszy następnie za granicę, dopełniał swą wiedzę na wszechnicach niemieckich. Przy jednej z nich, strasburskiej, przez czas pewien zajmował stanowisko prywatdocenta. Już znany z kilku rozpraw chemicznych, głównie nad gazami, udał się do Londynu i Paryża. Tu w pracowni Dubraya przeprowadził gruntowne badania nad bezwodnikiem węglanym. W r. 1882 otrzymał katedrę profesorską w uniwersytecie krakowskim. Z tej epoki pochodzą jego prace, które mu zjednały pamiętny wszystkim rozgłos w Europie, a dotyczyły skroplenia tlenu, azotu, gazów opierających się skropleniu. Chwilowo odmówiono tej zasługi Wróblewskiemu, pomawiając go o zużytkowanie pomysłów Cailleteta; późniejsze jednak wyjaśnienia przywróciły zaszczyt naukowy naszemu ziomkowi.

Szczegółowy rozbiór i ocena zasług Wróblewskiego leży po za programem naszego pisma. Możemy więc tylko ogólnie wyrazić żal po zgonie człowieka, który był pierwszorzędną a przedwcześnie zgasłą gwiazdą nauki polskiej.

FEJLETON.

PO ŚWIECIE.

V.

Kwestya pantofla i wysuwanie nogi. — Kwestya kapelusza. — Wystawa watykańska. — Ostatni heretyk. — Italia w kłopotach.

„W Rzymie być a papieża nie widzieć,“ wydawało się naszym dobrym, rzadko podróżującym przodkom rzeczą tak nienaturalną, że aż uczynili z tego przysłowie. Bo też dawniej głowa kościoła bywała pielgrzymom tak łatwo widzialna, jak w Mekce kostka z nogi Mahometa; dziś czasy się zmieniły: karawany pątników ciągną przez Alpy, ale na posłuchanie czekać muszą często tydzień i dłużej, przy codziennych zaś, gratysowych okazyach Leona XIII ujrzeć niepodobna. Mniemałem, że w wielki piątek, sobotę, niedzielę ujrzę go u św. Piotra, niesionego na krześle, owianego wachlarzami strusich piór, jak nubijska królowa; gdzież tam! daremne męczące przejażdżki po za Tyber, na watykańskie wzgórze; papież w tych dniach był widzialny jedynie dla ruskiego posła p. Izwolskiego; odprawił jedną uroczystą mszę w Sykstyńskiej kaplicy — przed tym cudownym *Ostatecznym sądem* Michała Anioła, któremu tak barbarzyńsko pozwolono zapleśnieć w wilgoci — odprawił ją przed dobranem gronem wiernych i zniknął znów w milczących murach strzeżonych przez wierne szwajcarskie i szlacheckie gwardye, smutne pamiątki świeckiej potęgi. Mogłem był wprawdzie, przybrawszy natchnioną minę pielgrzyma, wsunąć się tam z którąś z naszych kompanij, które właśnie w tym czasie hołdy swe złożyć przybyły; ale doprawdy, choć bardzo pokorny, czułem, że nie przemogę się — tem więcej dziś — do pochylenia głowy ku tradycyjnemu pantoflowi. Stoi w Bazylice na prawo od t. z. *konfesyi św. Piotra* posąg apostoła, pochodzący z czasów bardzo starożytnych i wysuwający prawą nogę ku pocałunkom wiernych. Ile tam milionów ust przez nią przesunąć się musiało, aby zetrzeć ją prawie do połowy!.. Zbliżając się do świętego posągu, włoch obciera naprzód nogę tę chustką lub rękawem, poczem dotyka jej ustami, czołem i jeszcze raz ustami. Jest w rodzaju ludzkim służalcza skłonność do adorowania wysuwających się rąk i nóg; zauważyłem w tymże kościele podobne ślady pocałunków na wszystkich wysuwających się naprzód odnóżach posągów do tego stopnia, że nawet gdzieś smok piekielny, wyciągający kurczem śmiertelnym biedną łapę, świadczy temu ciekawemu (nieprawdaż?) spostrzeżeniu żółtością marmuru. To wysuwanie nogi, które uczynili papieże swoją polityką, ten giest podniesienia dwu palców w górę do błogosławieństwa, przejęte są niezawodnie od owej wspomnianej figury. I oto, skąd wstręt mój do pantofla; zdarzało się wprawdzie i mnie zbliżać korne usta do tego symbolu tyranii; czyniłem to nawet z całą ochotą, ale — wobec płci stanowczo przeciwnej. Powiadam stanowczo, gdyż jak się ze zgrozą dowiedziałem i przekonałem, nie wykluczono w Watykanie pod tym względem do dziś dnia dwuznaczności. Wierzyłem ja, wyczytawszy, nie wiem już gdzie, iż Pius IX usunął istotnie z watykańskiego chóru owe szczególne śpiewackie talenty, które dla swej przymusowej neutralności mogłyby cieszyć się całkowitem zaufaniem sułtana...; wywiedziono mnie z błędu, zwróciwszy uwagę na piskliwe głosy, które miały czelność nazywać się męzkiemi. Było to w sam dzień Wielkiej nocy; eunuchy śpiewały nad rozbitym grobem Jezusa, symbolem odradzającej się natury; przez jasne szyby wpadające do gmachu, słońce ożywiło nawet martwe głazy; po ogrodach powietrze drżało pod stopami przechodzącej płodnej matki Gei; z radości nad rozkoszą bytu eunuchy posyłały Wiośnie *Alleluja!*

„Wysuwanie nogi“ w polityce Leona XIII wydało już skutki olbrzymie. Pius IX grał rolę więźnia, Leon—obrażonego pana; otoczył się przepychem, zawiesił nad głową aureolę królewskości i w poczuciu swej siły zmienił uśmiech pobłażania na uśmiech pogardy, objawianej w wyszukiwanych umyślnie okazyach. Jedną z takich najdrażliwszych, bo najdrobniejszych kwestyj domowego pożycia jest zakaz zdejmowania kapelusza przed królem i królową. Zwyklem miejscem ich przechadzek jest Corso, willa Borghese, willa Albani; otóż kolegia duchowne wysyłają umyślnie w tychże samych godzinach alumnów na przewietrzenie się, a widok tych młodzików, ciągnących sceinami w białych, czarnych i czerwonych płaszczach i nieoddających zwykłego ukłonu, zdolałby istotnie nawet mniej gwałtownego niż król włoski człowieka doprowadzić do pasyi. Okazuje ją też bardzo groźnem ruszaniem wąsów.

Cuda pisano o wystawie watykańskiej — nie przesadzono. Wychodzi się z niej z zawrotem głowy — i niema co mówić, uczuwa się maluczkim, ot — tak maluczkim — wobec mocarza, który jednem skinieniem ręki zdołałby zgromadzić miliony ludu na nowe religijne wojny. Otwarto ją z przepychem pod nazwą *Wystawy darów katolickiego świata* w salach obok ogrodów pontyfikalnych i mimo obszernego lokalu, musiano przybrać jeszcze sal kilka z muzeum rzeźby. Wartość darów tych, biorąc na uwagę choćby tylko wartość materyału, liczy się pewno na setki milionów, a by dać pojęcie o ich liczbie, dość rzec, że krążąc z falą tłumu nieustannie przez godzin pięć, zaledwie pobieżnie przejrzeć je się zdoła. Jest w tem męcząca jednostajność; bielizna i sprzęty kościelne powtarzają się nieskończenie wiele razy w tychże samych odmianach; niektóre oddziały są poprostu sklepami płótna i materyj, przysłanemi widocznie dla reklamy fabrykanta, a mogącemi stanowić piękny posag dla całego batalionu dziewcząt i w tym sensie zapobiegającemi nawet potrzebom przyszłych kołysek, gdyż są tam i czepeczki i pończoszki dziecinne i pieluszki... a może też mające symbolicznie przypominać świetne czasy Renessansu? Więc bielizna kościelna: serwety, ręczniki, komże, stuły, pluwiały, dalmatyki, ornaty, wela, chorągwie, poduszki, dywany; potem krzyże, kielichy, monstrancye, lichtarze, świece, lampy, ołtarze całe w różnych stylach, z drzewa i z marmuru, klęczniki, obrazy, nawet starych mistrzów, posągi, portrety, relikwiarze, psałterze, mszały, biblie, biblioteki całe, dzwony, organy nowej konstrukcyi itd. To w dziale Europy rozłożonej systematycznie na kraje i dyecezye; reasumując spostrzega się, że najbiedniejszy kraj — Hiszpania, przysłał najbogatsze dary; Francya, Italia objawiły już pohamowanie większe; Belgia przysłała ogromną moc pstrokacizny i bezcennych drobiazgów. W innych częściach świata organizowali wysyłki misyonarze, którzy też umieli nadać im rozmaitość. ułożyć w system i stworzyć tym sposobem cenne etnograficzne muzeum. Są tam więc wyroby ręczne, modele narzędzi, strojów, uzbrojenia, domów, świątyń; próby nasion i owoców, zwierząt, ptactwa, owadów itd. Z ich ilości i wartości można dopiero nabrać pojęcia, jak szeroko rozgałęziona jest misye katolickie i ich wpływ po za granicami Europy. Drobne dary prywatne rozrzucone są po wszystkich oddziałach, w jednej jednak sali wystawiono ofiary szczególnej wartości. Nie powiem ja, poglądając na te ornaty wyszywane grubo złotem i nasiane gęsto dyamentami: ile by to łez obetrzeć nimi można! — gdyż wiem, że obcieranie ócz tak szorstką materyą na pożytek by im nie wyszło; ale poskarżę się, jak się skarżył cały ubogi kraj na szczodrobliwość hiszpańskie-

go dworu, którego liczne brylantowe krzyże, insygnia itd. przedstawiają wartość milionów. Królowa angielska przysłała złoty kielich i tacę; no, a co cenniejsze: ks. Norfolka; cesarz i cesarzowa brazylijscy brylantowy krzyż i tryptyk złoty; cesarzowa niemiecka tyarę, cesarzowa austryacka koronki dzierzgane rękami swemi i dam dworu; Grevy — jeszcze prezydent — jeden ze swych setnych wazonów sewrskich. Najcenniejszy krzyż dyamentowy z takimże łańcuchem nadszedł od Rzeczypospolitej Kolumbii; szacują go na 800 tysięcy franków; prawdziwie zaś bije w oczy świetnym blaskiem pierścień sułtana Abdul Hamida, z brylantem wielkości tureckiego orzecha, wywracający równocześnie wszystkie pojęcia o zasadzie nieprzyjmowania darów z rąk heretyckich lub pogańskich. Widziałem i galicyjski hołd w postaci oprawnej w złoto księgi adresów; podobną emaliowaną księgę przysłały Węgry. Praktyczniejsze Królestwo ustawiło górę cukru z fabryki Guzowskiej, piętrzącą się w ostatniej sali naprzeciw góry szampańskiego wina, daru Francyi. Te dwie góry otoczone są piramidami butelek, odbijających się w dowcipnie ozwierciedlonej ścianie do nieskończoności. Dlaczego miano interes powiększenia ilości darów złudzeniem właśnie w tym prozaicznym oddziale?.. Żartom wolne pole.

Ponieważ mogłoby się niepodobać Panu Bogu takie wyciąganie palców pod kacerskie pierścienie, nagradza się go wynajdywaniem i potępianiem nowych heretyków, chociaż musi się przytem potrząsać w grobie spokojne kości. *Święta kongregacya indeksu* dobyła i potępiła 40 propozycyj zawartych w pośmiertnych dziełach Antoniego Rosminiego, założyciela instytutu *della Carità*, przyjaciela niegdyś Giobertiego i Manzoniego; dokonali tej pozagrobowej zemsty jezuici, zacięci wrogowie pojednawczej filozofii mistrza, która, opierając się na Tomaszu z Akwinu, godziła katolicyzm z pewnymi niewzruszonymi wynikami nowożytnej wiedzy. Było wielu Rosminianów między samem duchowieństwem: Stoppani, Bonomelli i in.; wszyscy radzi byli odetchnąć w dusznej atmosferze scholastycyzmu. Rzecz najciekawsza, że gdy papież Pius IX położył był na tych samych pismach *dimittantur*, tj. „toleruje się“ (choćby w najszczuplejszem znaczeniu tego wyrazu), Leon XIII wprost je kładzie na indeksie. Kwestya ta więc zaczepia o dogmat nieomylności, tak, że obecnie skrzypią wszystkie tryby scholastycznej logiki, mające zachować od dyskredytu owo nieszczęsne *dimittantur*. Mnie samemu tłomaczył jeden z duchownych, że co nie było uznane za niebezpieczne niegdyś, mogło stać się niem dzisiaj, które jednak dowodzenie przewracało znów pojęcie prawdy jednej i niezmiennej. Słowem — nie większy ma kłopot Francya z „reformowanym“ Boulangerem. Co uczynił instytut *della Carità* i uczniowie mistrza? W poddańczym liście generała tego zakonu wyrzekają się solennie i jego, i jego nauki, za którą postępowali przez lat 50; jest to karność godna uwagi; uczmy się z niej, bo i nam może wnet naśladować ją każą.

Rzym roi się cudzoziemcami; nie mówiąc już o pielgrzymach, całe bandy anglików przebiegają ze swymi *ciceronami* palatyńskie ruiny, forum, muzeum watykańskie; istna złotodajna szarańcza. Równie Florencya, gdzie w tym roku usiały się same koronowane gniazda; w tej chwili (d. 7 kwietnia) bawią tu: królestwo włoscy, cesarstwo brazylijscy, królowa angielska, würtemberska, saska, serbska, księstwo Battenbergowie, nie licząc tysiąca arystokratycznych rodzin, widnych co dnia na przejażdżce w parku *Cascine*. Wogóle biedny ten kraj, gdzie nawet cenniki na wystawach sklepowych opodatkowano i gdzie chłop powiada o polakach: „Ba, wy jesteście książęta; możecie jeść codziennie sałatę!..“ ma w swych ciemnych niebie i w swych starożytnościach jedyne źródła zarobku; zerwanie handlu z Francyą i wojna afrykańska pognębia go do reszty. Z Marsylii, po owem zakłuciu dwu żuawów w Arles, wypędzają robotników włoskich całemi secinami; bezpieczniejszy tam dziś niedźwiedź niż włoch; w Afryce negus i Ras Alula zakpili sobie srodze z generała San Marziano i to w sam dzień wielkiej nocy, w fatalny dzień pierwszego kwietnia. Podstąpiwszy pod same włoskie porty i błysnąwszy mu w oczy widokami pokoju — odeszli. Żołnierze czekają znów napadu, a sztab generalny chłodzi się w 35° upale chłodnym wiatrem, jaki naprawdę zaczyna wiać od strony zniecierpliwionego kraju. Rąk zacierać się nie godzi, bo jest to jedna z narodowości, która żywi dla nas bardzo gorące sympatye, a jednak chce się przyklasnąć zemście dziejowej, że tak uczy ich zwracać brzydką politykę na zaciejsze tory.

Egrot.

LIBERUM VETO.

Ostateczna sekcya na duszy Chopina. — Protokół ks. Jełowickiego. — Różnica pomiędzy genialnym muzykiem a... — Gdzie się podziało 24,366 rubli. — Teorya topnienia wspaniałomyślności. — Wylew wody i wylew miłosierdzia. — Interpelacya w sprawie gospodarki kościelnej. — Drugi nowo-konserwatysta. — Zagadka.

Trzeba przyznać pobożnym piastunom dusz naszych, że są niezmordowani. Pilnują nietylko żywych, ale czuwają nad umarłymi i dokładają wszelkich starań dla udowodnienia, że im się nie wymknęli. Zwłaszcza gdy ci umarli przeszli do nieśmiertelności, leżą dopóty na stole sekcyjnym, dopóki chirurgowie klerykalni nie wynajdą w nich nerwu pożądanego. A z tą samą gorliwością i pracą, z jaką dziejopisarze wykrywają każdy szczegół, nadający znaczenie mężom znakomitym, świątobliwi badacze historyi dusz wielkich poszukują dowodów ich oczyszczenia się z grzechów na łożu śmiertelnem. Dlatego rodzaju rachmistrzów przeszłości obojętnem jest, co napisali: Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski, ale ważnem, czy się wyspowiadali przed zgonem. Jest to sprawa pierwszorzędna, która często wywołuje zacięte spory publiczne i wprawia w ruch drobiazgowe śledztwa. Jeszcze nie przebrzmiały echa walki o Kraszewskiego, którego Jeż nie chciał domordować propozycyą przywołania księdza, a „duszpasterze“ zlorzeczyli „niedowiarkowi,“ że tego nie uczynił. W zatargach takich zwykle jedna strona dowodzi, że człowieka konającego nie trzeba wcale oszczędzać i chociażby go to miało zabić, należy mu oświadczyć, iż umiera i powinien załatwić formalności paszportowe w drodze do świata zagrobowego; inni zaś, czasem nawet religijni, utrzymują przeciwnie i dają głos uczuciom ludzkim.

Wyznaję, że nie wiedziałem o istnieniu wątpliwości co do ostatnich chwil życia Chopina, bo mnie obchodziła tylko jego muzyka; radość też, jaką w kruchtach i zakrystyach sprawiła *Biesiada literacka*, napełnia moje serce całkiem niespodziewanie. Ponieważ zaś nie mogę jej skąpić nikomu, więc dzielę się nią z czytelnikami. Według odnalezionego listu ks. Jełowickiego było tak:

Widząc śmierć nadchodzącą, namawiał genialnego muzyka do spowiedzi.

— „Nie chciałbym — odrzekł Chopin — umrzeć bez sakramentów, aby nie zasmucić mojej kochanej matki; ale ich przyjąć nie mogę, bo już ich nie rozumiem po twojemu. Pojąłbym jeszcze słodycz spowiedzi, płynącą ze zwierzenia się przyjacielowi; ale spowiedzi, jako sakramentu, nie rozumiem. Jeżeli chcesz, dla twojej przyjaźni, wyspowiadam się u ciebie, ale inaczej — to nie.“

Ale ksiądz, nie zadawalając się taką pobudką, „nie ustawał w zabiegach,“ aż wreszcie zmógł chorego. Wtedy Chopin nagle się zmienił: całował krzyż, powtarzał wykrzyki religijne, zapowiadał obecnym widzenie się w niebie, wołał: „puśćcie mnie, niech umrę,“ a nawet rzekł do spowiednika: „Bez ciebie mój drogi, skończyłbym — jak świnia.“

Ponieważ nie wszystko, co było kiedyś napisane i później wydrukowane, staje się przez to samo bezwzględnie wiarogodnem, więc i to świadectwo nie zamyka wrót wątpliwościom... Ale mniejsza o nie; radbym tylko zaznaczyć, że ks. Jełowicki, osiągnąwszy cel swoich zabiegów i rozmawiając z mistrzem, popełnił wielką niestosowność. Mojem zdaniem powinien był zwrócić uwagę Chopinowi, że gdyby nawet genialny artysta umarł bez spowiedzi, jeszcze nie umarłby „jak świnia,“ gdyż świnia nie tworzy mazurków, koncertów, polonezów i wogóle znakomitych dzieł muzycznych. Chopina od świni nie odróżniała jedynie spowiedź. To też sądzę, że ani *Zorza*, ani *Gazeta świąteczna* nie przedrukują listu ks. Jełowickiego dla swych prostaczków, ażeby ich nie pobudzić do bardzo mylnego wnioskowania zoologicznego, chociaż *Przegląd katolicki* chętnie by mu przyklasnął.

Bądź co bądź, komu brzemię niepewności gniotło piersi, ten może obecnie lżej odetchnąć: Chopin przed śmiercią wyspowiadał się i to nie dla przyjaciela, ale dla zbawienia własnej duszy.

Zdaje mi się, że jest to najważniejsza wiadomość ubiegłego tygodnia. Ale chociaż słońce świeci, gwiazdy błyszczeć nie przestają. Kiedy unieważniono testament Sierakowskiej, którym zacna kobieta zapisała cały swój majątek na cele użyteczności publicznej, pisma doniosły, że tryumfujący spadkobiercy zobowiązali się rejentalnie wypłacić na ten cel 100,000 rs., jeżeli wykonawcy testamentu zrzekną się apelacyi. Świeżo *Korespondent płocki* ogłosił, że istotnie zahipotekowali na zdobytych dobrach, ale tylko 67,000 rs., a przyjąwszy kilka darowizn dobroczynnych — razem 75,366 rs. Do poprzedniej więc obietnicy brak 24,634 rubli. Wprawdzie wtedy, kiedyśmy o niej czytali, śnieg również leżał grubszą warstwą i od tego czasu znikł; ale czy wspaniałomyślność, czerpiąca swe środki z zasobów społeczeństwu odebranych i uprawniona w posiadaniu ich przez proces zagrobowy, ulega tym samym, co śnieg, prawom topnienia? Gazety, zapowiadające 100,000 rublową „darowiznę,“ wydawały się dobrze poinformowanemi; jakaż więc pobudka w ciągu paru tygodni zdmuchnęła instytucyom społecznym 24,634 rs.? Jest to suma zbyt poważna, ażeby nie budziła ciekawości, co się z nią stało. Bylibyśmy też bardzo wdzięczni każdemu, ktoby nam odpowiedział na następujące pytania:

Czy spadkobiercy Sierakowskiej rzeczywiście zobowiązali się rejentalnie do ofiary dobrowolnej ze 100,000 rs.?

Jeżeli tak, czemu zniżyli tę sumę obecnie do 75,366 rs.?

Czy wykonawcy testamentu za tę cenę zrzekli się apelacyi?

Właśnie gubernia płocka, w której mieszczą się zdobyte przez spadkobierców majątki, najwięcej ucierpiała od tegorocznych zalewów. Dla powodzian przydałyby się bardzo te 24,000 rs., gdyby je można było uzyskać. Wogóle składki na ten cel płyną nie z tą siłą i szybkością, z jaką płynęły wody, które kraj zniszczyły. Gdy widzimy, że w Poznańskiem i Prusach zebrano już przeszło milion marek i gdy z tą cyfrą porównamy rezultaty naszej kwesty, smutno się robi, bardzo smutno. Dziś jeszcze straszna klęska nie zarysowała się wszystkiemi swojemi następstwami, ale niedłu-

go zapewne odmaluje się wyraziście jej ponury obraz, skoro jej ofiary staną przed społeczeństwem głodne i obdarte. Ujrzymy je wkrótce w korespondencyach z rozmaitych stron kraju, w skargach i wołaniach o pomoc. Dotąd zajmują nas przerwy w komunikacyach i naprawy torów kolejowych, ale kiedyś tem szybciej przybywać do nas będą wiadomości o szeroko rozpostartej nędzy.

Czuję się niepowołanym do zabierania głosu w sprawach gospodarki kościelnej; ale ponieważ pisma, należące duchowo do archikonfraterni literackiej, mają podobno skrupuły w dotknięciu wyraźnem sprawy, która obchodzi szerokie koło ludności i której rzecznicy odwołują się listownie do nas, więc w ich imieniu wnoszę następującą interpelacyę: 1) czy prawdą jest, że przy restauracyi niektórych kościołów warszawskich usuwane są często cenne zabytki i zastępowane nowymi; 2) czy prawdą jest, że przechodzą drogą sprzedaży w ręce prywatne, a niekiedy obce i służą do ozdoby mieszkań? Nie mam żadnych stosunków, zapomocą których mógłbym sprawdzić, czy taka grabież i taki handel rzeczywiście się dokonywają; czytałem tylko w niektórych pismach napomknienia i półsłówka, szydzące z tych „odnowień.“ Zastrzegam wszakże, z powyższemi pytaniami nie zwracam się do *Przeglądu katolickiego*, bo jego kłamstwa i wymysły mogę rachunkiem prawdopodobieństwa zgóry odgadnąć: wiem, że odkręci on swój kran z niefiltrowaną i błotnistą wodą, którą zacznie ku nam strzykać. Idzie mi o co innego, mianowicie, żeby pisma z położeniem rzeczy obeznane i przez ludność dbałą o kościoły czytane, objaśniły lub uspokoiły ją wiarogodnie.

Bezimienny „nowo-konserwatysta“ w obszernym liście usiłuje rozproszyć moje wątpliwości co do „stronnictwa“ tej nazwy w naszem społeczeństwie. Żałuję mocno, że deklaracya jest niepodpisaną, bo widząc obok p. Jeske-Choińskiego jeszcze drugiego „szermierza,“ musiałbym uwierzyć w istnienie takiej „partyi.“ Ale, nie będę wymagającym i policzę bezimiennego. Jest więc dwu—ogłaszam to na wsze strony — a jeśli zamelduje się więcej, nic zataję żadnego. Programu tej — jak dotąd — pary rozbierać nie będę, gdyż temu zalążkowi w naszym organizmie *Prawda* zeszłego roku poświęciła kilkadziesiąt wierszy, co w stosunku do wagi przedmiotu było już za dużo. Natomiast prawdopodobnie pomówię kiedyś jeszcze o pewnym nowokonserwatywnym „szermierzu,“ gdy on się znajdzie... w potrzasku. Gdzie? — pytasz zdziwiony panie, któremu zawdzięczam cztery strony głębokiego wykładu o „polskim nowokonserwatyzmie.“ Jest to moja tajemnica, którą niedługo odsłonię. Sądziłem, że będę to mógł zrobić 16 b. m. — zawiodłem się, pomimo, że dziś już 19. Cierpliwości... Inne pisma zamieszczają szarady, zagadki, logogryfy — niechże i *Prawdzie* wolno będzie raz to uczynić.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

P. Lewicki i jego wrogowie. — Dodatnie i ujemne cechy ludzkie śród powodzi. — Pomysły *Kaliszanina* i *Gazety radomskiej*. — *Wiek* w pułapce. — Maszyny zagraniczne i nasze. — Pomysłowość niemiecka i nasze krowy dojne. — Chrypka śpiewaków łódzkich.— Rozdźwięki w „Lutni“ częstochowskiej — Losy straży sandomierskiej. — Nędza w Lublinie.

Przed kilku laty założone przez p. Lewickiego Muzeum pszczelnicze, powitano powszechnie z radością. Nie długo wszakże trwała ogólna sympatya; znaleźli się niezadowoleni, co z całą energią jęli ciskać petardy na założyciela i gromadzić przeciwników. P. L. bronił się jak mógł i dalej pracował, aż krzyki ucichły nieco. Lecz dziś znów ks. Jakubowski, podobno specyalista w pszczelnictwie, sypnął w *Wieku* gradem ciężkich zarzutów instytucyi i jej przewodnikowi. Oto dotkliwsze strzały: „Muzeum pod kierunkiem p. L. stało się środkiem wyzyskiwania łatwowierności ogółu, wyniszczenia pasiek i zabicia sprawy rozwoju pszczelnictwa...“ Nie mówiąc o reklamach, od których zaczął p. L., wyzyskał on w niepraktykowany sposób „nowość“ (właściwie rzecz u nas mało używaną), blachę odgrodową, sprzedając ją pięć razy drożej, niż zagraniczną. Wykłady w pierwszym roku kosztowały, dla ściągnięcia słuchaczów, po 6 rs., następnie w drugim roku doszły do 25 rs., a obecnie do 60, od przychodzących zaś — po 100 rs. Za to ceny blachy z 75 k. zniżył do 30, „ażeby biorąc tylko 100%, mógł głosić, że cały swój majątek poświęcił dla dobra ogółu.“ Pojawienie się u nas „patentowanych pszczelarzy i pszczelarek— mówi dalej ksiądz — najzgubniej oddziałało na rozwój pszczelnictwa, gdyż wiele osób, które wpierw miały ochotę zaprowadzenia pasiek, widząc smutne rezultaty, nietylko samo się zniechęciły, lecz jeszcze innym odradzały, mówiąc, że to za droga zabawka na ciężkie czasy.“ Następnie z zimnego krytyka ks. J. przedzierzga się w zajadłego wroga. „W imieniu pszczelarzy proszę p. akcyonaryuszów Muzeum, niech się nie troszczą o losy pszczelnictwa u nas w kraju. Przy pomocy bożej, przy uczciwej i rozumnej pracy w tym kierunku praktycznych jednostek, pszczelnictwo u nas znowu, choć powolnie, kroczyć będzie właściwą drogą. Niech sobie p. L. wypieka w „wielkiej piernikarni prawdziwe pierniki,“ syci „miody zdrowia,“ wyrabia niegładkie blachy odgrodowe i drogie ule „stojako-leżaki“ — lecz zaniecha kształcenia pszczelarzy i pszczelarek i wytwarzania nowego rodzaju proletaryatu. Za 1,115 rs. — złożone w pierwszem półroczu panu L. za wykłady, tyle przynoszące korzyści, co i pańscy prowadzone przez dyrektora — p. Dł., który w akademii duchownej wykładał pszczelnictwo, zgodzi się zastąpić *samorodnego profesora*.“

Nie znam osobiście p. Lewickiego, nie jestem jego przyjacielem ani wrogiem, lecz muszę w imieniu sprawiedliwości kilku uwagami pohamować zapał księży. Fakty mówią, że ani Muzeum, ani jego wychowańcy nie wyrządzili wielkiej szkody pszczelnictwu. Ze wszystkich stron kraju dochodzą coraz częściej wieści, że uczeńce p. Lewickiego zakła dająszkoły pszczelnictwa dla ludu i że dzięki temu owa gałąź przemysłu z dzikiego stanu przeradza się pomyślnie. O wytworzenie nowego rodzaju proletaryatu nicma obawy, gdyż prawie wszystkie pszczelarki patentowane są zamożne i zajmują się nabytym fachem z zamiłowania. Nie mam pojęcia, jakby smakował miód zmonopolizowany przez księży, ale jestem pewny, że puszczone samopas pszczelnictwo nawet przy pomocy bożej nie wylazłoby z kłod i dzikich barci. Może być, że p. Lewicki wiele błędów popełnił, ale, bądź co bądź, swoją pracą i wysiłkiem nie zasłużył na opinię zbrodniarza.

Z powodzi wypłynęły na wierzch dodatnie i ujemne cechy ludzkie. Pierwsze—miłosierdzie, drugie — potworność moralna i stępienie uczuć altruistycznych. W Sierpcu (opowiada korespondent) kobieta z trojgiem dzieci rozpaczliwie wołała ratunku z usuwającego się z pod nóg jej dachu. Obecni żądali od niej za pomoc zapłaty, ale że nędzarka prócz płachty na sobie nic więcej nie miała, należało jej zginąć z drobiazgiem. Na szczęście śród głazów znalazł się o wrażliwych nerwach i tkliwem sercu czeladnik rzemieślniczy, który ostatnie pięć złotych ofiarował przewoźnikom. Po wyratowaniu rozbitków chałupa runęła do wody. W innem miejscu trzydzieści zwołanych włościan na pomoc, przyglądało się z dziką rozkoszą wysiłkom parobków i rozpadającym się budynkom pod naporem wody. Smutny ten objaw, godny surowego potępienia, nie dowodzi zarazem przyjacielskiej zażyłości właściciela z owymi ludźmi.

Pod wpływem klęski wiosennej rodzą się piękne pomysły. *Kaliszanin* radzi założenie przeważnie dla ludu banku melioracyjnego, gdyż włościańskie nie wystarczą na złagodzenie mnożącej się nędzy. Wszystkie prawie pola od Kopydłowa, Brzozy do Wieluniа (w Kaliskiem) przez większą część roku bywają zalane wodą. Na osuszenie ich potrzeba nadzwyczajnych wydatków, a więc pożyczki melioracyjnej. Gdy się u nas półgłosem dopiero wniosek ten wypowiada, na Szlązku od r. 1870, a w Poznańskiem od 1821 istnieje podobna pomoc. Władza wydaje tam papiery procentowe (*Landeskultur-Rentenbrief*) na sumę połowy wartości majątku ocenionego przez Towarzystwo kredytowe ziemskie. Właściciel opłaca z tego $5\frac{1}{2}\%$ na długoletnią amortyzacyę.

W równie ważnej sprawie zabrała głos *Gazeta radomska* o ułatwieniu włościanom możności nabywania drzewa w lasach rządowych. Nie przemawia tu czysta miłość do siermięgi, tylko zasada aby wilk był syt i koza cała, lecz mniejsza z tem. Chłop od dawna przyzwyczaił się do kradzieży leśnej, nieraz wytęża wszystkie siły w tym kierunku, traci czas i zdrowie na nocnych wycieczkach, a gyby zestawić przyłapywania na gorącym uczynku, kary pieniężne, w toporach, kapotach, czapkach, sińce, guzy, areszty, z korzyścią z nieprawnie zdobytego drzewa, przekonalibyśmy się, że chłop więcej traci, niż zyskuje. Wart więc urzeczywistnienia projekt przystępnej sprzedaży. Obowiązkiem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu byłoby wyjednanie u władzy ulgi, aby włościanie mogli w lasach rządowych nabywać nawet pojedyncze sztuki bez wszelkich długich formalności.

Charakterystyczne, iż takie doniosłe kwestye błąkają się i dzwonią dotychczas bez echa tylko na szpaltach pism prowincyonalnych. Nasze *wielkie* gazety nie mają na to miejsca wobec szerokich roztrząsań politycznych. Jeśli się znajdzie jaki kącik, to go w pośpiechu zapycha się wycinkiem bez doczytania nawet wiadomości do końca. Skutkiem tego zdarzył się *Wiekowi* fatalny wypadek. *Dziennik łódzki* na *prima aprilis* ułożył cudacką bajkę o wylewie rzeki Jesieni, o katastrofie z mieszkańcami „Kamgarnowic,“ „Wolenowa,“ „Leinwadów,“ przerwie komunikacyi pomiędzy *Cłowicami* i *Przemytnikiem*, o zjawieniu się jakichś bąbelków z fiołkową wonią, płynących z wodą i pod wodę. Podpisane na końcu *Prima aprilis* mogło najnaiwniejszego przekonać o zmyśleniu. Może być, że w poważnym organie geografia współpracownikowi od wycinków nie jest potrzebna, ale bądź co bądź redakcya powinna skłonić go przynajmniej do uważniejszego odczytywania wiadomości zakreślonych.

Przypatrzmy się w jednym tylko szczególe skutkom naszego ślepego przywiązania do zagranicy. Co rok nabywamy maszyn i narzędzi rolniczych u obcych za *dwanaście milionów* rubli. Cyfra ta wskutek spadku waluty i podwyższenia opłat celnych ciągle wzrasta. Krajowe zakłady fabryczne chcąc naśladować zagranicę dają fuszerkę. Wielu łatwowiernych właścicieli zawaliło strychy tymi gratami, niemającymi żadnej wartości. Otóż w celu zapobieżenia nadal złemu, w gronie interesowanych powstał projekt urządzenia wielkiej fabryki udziałowej pod kontrolą i odpowiedzialnością ziemian. Czekajmy! W wieku ogólnej niewiary nie śmiem w tej chwili mnożyć jej swemi obawami...

Korespondent płocki poniekąd usprawiedliwiu posiłkowanie się w takich razach zagranicą. Krajowe maszyny często po dwóch latach użycia są do niczego, rury cieknąw kotle i ogień zalewają. Najprostsze nawet, jak wialnie i te wyrobu tutejszego są

bardzo nędzne. Sitka roku nie wytrzymują, kiedy zagraniczne pięć lat trwają. Możemy tylko tem się pocieszyć, że owe wyroby przeważnie są niemieckie. Oj, ci niemcy! Wszystko im wolno! Przed kilku laty ustanowiono cło od worków, powracających z zagranicy po dostawie zboża, chociażby starych, podartych. Przenosi to nieraz wartość tych szmat. Skorzystali z tego pomysłowi spekulanci. Przysyłają do nas wielkie skrzynie, do których się sypie zboże i wyprawia do Prus. Za ten wynalazek wytwórcy lub kupcy tutejsi muszą płacić podatek nabywcom.

Nie zawsze jednak tym potężnym z nad Sprei wszystko gładko idzie. W Łodzi np. „Zweiter Männergesang - Verein“ (drugie stowarzyszenie śpiewackie) długo cierpiało na chrypkę, aż wreszcie musiało się rozwiązać, nieszczęśliwe. Kto teraz w pieśniach będzie sławił pod niebiosa cnoty narodowe?

Coś i nasza polska „Lutnia“ w Częstochowie niedomaga, pomimo że zaledwie liczy rok istnienia. Wszystko było jako tako, póki chóru *dobrze urodzonych* nie zakłócił żaden paskudny żywioł. Naraz harmonia poczęła się psuć, bo zapisało się na członków kilku *źle urodzonych*, tj. rzemieślników. Pierwsi nie znaleźli innej rady, jak tylko opuścić sprofanowane stowarzyszenie. Jabym wam radził, częstochowianie, utworzyć teraz dwie *lutnie*. Która przekrzyczy, ta będzie górą. Jestem pewny, że ci, co znieważyli szlachetną instytucyę, wyszliby zwycięzko, bo umieją pojmować i spełniać obowiązki obywatelskie. Dowodzi tego tamtejsza straż ogniowa, składająca się prawie wyłącznie z rzemieślników i wyrobników. Gdy ci zrywają się z tapczanów, pędzą na słoty, śniegi, mrozy, w ogniu narażają swoje życie, jednocześnie stara i młoda „inteligencya“ czuwa.. przy zielonych stolikach.

Grzebie się w biedzie straż ochotnicza w Sandomierzu. Pomimo ośmiu lat istnienia dotychczas nie może się rozwinąć. Przed kilku laty z żabiego stanowiska zapatrzywszy się na wolu amerykańskiego, wybudowała na rynku wielką cysternę na wzór zamorski. Pochłonęło to około tysiąca rubli, nie przyniosło żadnego pożytku, a pod względem materyalnym zachwiało instytucyę tak silnie, że omało nie runęła. W roku zaprzeszłym ta nędzarka nie miała już ani umundurowania, ani narzędzi. Z tych ostatnich miejskie nie były zdolne do żadnego użytku. W ostatniem tegorocznem sprawozdaniu uderzają dziwne fakty: izraelici, posiadający w mieście dziesięć razy więcej domów niż chrześcianie, dają cztery razy mniej składek. Kasa miejska nie udzieliła ani grosza straży przez cały czas jej istnienia, chociaż ta z własnych funduszów utrzymuje w porządku miejskie narzędzia ogniowe. Przez trzy ostatnie lata nie miała brandmajstrów, gdyż majstra kominiarskiego miasto nie posiada.

P. Bogusław Lech, zachęcony powodzeniem swego projektu — herbaty dla biednych, próbuje szczęścia powtórnie: radzi założenie w Lublinie biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej na wzór warszawskiego, z tą różnicą, że w ostatniem rolę czynną spełniają siostry miłosierdzia, a tam — mogłaby płeć piękna, nieujęta w klauzury zakonu. Dotychczas znaczna jej część choruje na nudy, albo „świecąc nader częstą obecnością w kościołach — jak się wyraża kronikarz — zapomina o tem, że modlitwa bez czynu jest tylko czczą klepaniną.“ Pan L. dla rozczulenia mieszkańców swego grodu kreśli smutny obrazek nędzy miejscowej. W dzielnicy żydowskiej, w izbie mającej pięć łokci kwadratowych, mieści się jedenaście osób różnej płci i wieku, między niemi na tapczanie ćwierć łokcia szerokości położnica z noworodkiem martwym u nóg. P. L. zbadał, że dziecko umarło z zimna i głodu. „Rozejrzawszy się bliżej w tej czeredzie brudnej, cuchnącej, poznałem osobniki jedzące raz na dwa dni, ludzi zarabiających po 20 groszy dziennie, utrzymujących z tego żonę i kilkoro dzieci.“

Drogomir.

Z Ostrowa odbieramy dwie korespondencye. Jedna z nich (podpisana zbiorowo) broni miejscowego proboszcza od zarzutów uczynionych mu w *Prawdzie* (nr 12) na podstawie skargi p. Stanisława Zdanowskiego. Jej autorowie twierdzą, że ks. Jarnutowski jest człowiekiem i kapłanem zacnym, że dbając o pomnożenie funduszu na budowę kościoła, „w uprzejmym tonie“ zażądał na ten cel rubla od obecnego w kaplicy dla kobiet p. Z., że wzmianka o operacyach pożyczkowych i dochodowych proboszcza jest potwarczem kłamstwem.

W drugim liście p. Z. utrzymuje, że w *Dzienniku dla wszystkich* umieszczono przeciw niemu obelżywą korespondencyę, podpisaną przez Wardaszkę i Ugniewskiego, ludzi prostych, którzy treści artykułu, rzekomo od nich pochodzącego, nie znali: że loża, w której nastąpiło zajście, nie jest przeznaczona dla kobiet; że ksiądz odezwał się do niego tonem wyzywającym i skompromitował go wobec osób; że on proboszcza nie posądzał o żadne czyny niemoralne (istotnie, o „lichwie,“ na którą oburza się protest pierwszy, nie było mowy).

Oddaleni od miejsca sporu, musimy powtarzać tylko zdania cudze na odpowiedzialność cudzą. Ale nawet godząc się na pochlebne świadectwo dla ks. J., zauważymy, że jeśli doniesienie p. Z. było przesadnem i niesprawiedliwem, należało je sprostować i obalić poważnie tam, gdzie je ujawniono, w *Prawdzie*, ale nie uciekać się do innych pism i do obelg przerastających swą dosadnością siłę zarzutu. Do nas przysłano protest, do *Dziennika dla Wszystkich* garść wymysłów, raz publicznie p. Z. został skompromitowany, drugi raz jeszcze publiczniej nazwany „szubrawcem“ — kto tu właściwie pokrzywdzony? Honor proboszcza nic by na tem nie ucierpiał, gdyby obelgi nie padały w jego obronie, a odbicie uderzenia z godnością daleko skuteczniejsze.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ministeryum dóbr państwa rozesłało towarzystwom rolniczym w południowej Rosyi, tudzież wielu rolnikom różne gatunki nasion tytoniów amerykańskich i hawańskich w celu dokonania prób hodowli w plantacyach krajowych. Ci, co zechcą robić u siebie owe próby, są proszeni o doniesienie o rezultatach do ministeryum, od którego otrzymali nasiona.

Do Kopenhagi na wystawę ministeryum oświaty deleguje profesora uniwersytetu warszawskiego Fischera von Waldheim.

Nowe towarzystwo. Ogłoszono statut towarzystwa „Pomoc dla zabezpieczenia się od nieszczęśliwych wypadków,“ z kapitałem pół miliona rubli i miejscem zarządu w Petersburgu.

Opracowano przepisy, określające sposób uwalniania z poddaństwa ruskiego. Odjęcie poddaństwa nie będzie karą kryminalną, lecz cywilnem następstwem czynów niewłaściwych dla poddanego ruskiego.

Nowoje Wremia donosi, że decyzya ministra sprawiedliwości co do projektu głównego zarządu więzień, tyczącego się zmiany wysyłania na Syberyę, oświadcza, iż bez wielkiego wstrząśnienia całego systemu karnego, wprowadzenie tej zmiany jest niemożliwe. Minister utrzymuje, iż zesłanie, jako kara poprawcza, winno istnieć nietylko w karaniu za występki przeciw religii i przestępstwa polityczne, lecz także i za wykroczenia w stosunkach rodzinnych.

Uniwersytet. Egzaminy praktyczne w uniwersytecie warszawskim zaczną się w tych dniach, teoretyczne — w połowie przyszłego miesiąca. Na wydziale historyczno-filologicznym staje w r. b. do egzaminu ostatecznego 18 studentów, na prawnym — 101, fizyczno-matematycznym — 14, lekarskim — 77.

Towarzystwa dobroczynności. Biuro korespondencyjne w Petersburgu donosi, iż ministeryum spraw wewnętrznych rozciągnie wkrótce kontrolę nad wszystkiemi prywatnemi towarzystwami dobroczynności, ponieważ uznano, iż niektóre czynią wydatki na cele niewłaściwe. Rzeczone instytucye będą musiały składać ministrowi spraw wewnętrznych sprawozdania o stanie funduszów i swojej działalności. Przy dorocznej rewizyi kasy i zakładów towarzystwu podwładnych, znajdować się będzie delegat rządowy. Zakładanie przytułków, szkółek, szpitali itd. będzie pozwalane tylko po wykazaniu środków na ich utrzymanie.

Żeglugę parową na Wiśle otwarła d. 15 b. m. administracya Fajansa między Warszawą, Płockiem i Włocławkiem.

Muzeum etnograficzne w Bagateli przy zwierzyńcu otwarto d. 15 b. m.

Zgromadzenia rzemieślnicze w Warszawie z powodu braku miejsca w szkołach niedzielnych, zamierzają wystąpić do władzy, aby do zakładów tych przyjmowano tylko terminatorów zapisanych do cechów.

W Karlsbadzie w połowie lipca 1889 r. otwarta będzie wystawa, obejmująca wszelkie wyroby przemysłu i rolnictwa miejscowego, okolicznego, tudzież z gór Harcu. Drugi dział zawierać będzie międzynarodowe wyroby i wynalazki. Bliższych szczegółów dostarcza biuro wystawy w hotelu Tassmanna w Karlsbadzie.

W Altwiesloch w pobliżu Frankfurtu runęła wieża stara (26 metrów wysokości) i zburzyła dwa sąsiednie domy. Zginęło 12 osób.

Śnieg obfity spadł w tych dniach w górnych Włoszech. W Augsburgu z tego samego powodu od kilku dni przestała kursować kolej konna. Komunikacya kołowa na wielu ulicach przerwana.

Prasa hiszpańska. W Madrycie wychodzą dwa duże dzienniki *El mundo* i *La Opinion*, oba w jednej redakcyi, zawierające nietylko jednakowe artykuły, ale nawet ogłoszenia. To samo się dzieje z dziennikami *El Echo*, *Nacional* i *La Publicidad*. Najlepszy i najpopularniejszy jest *Imperciel*, organ niezależny; kosztuje tylko 1 fr. miesięcznie. Gazety droższe wskutek współzawodnictwa nie mają abonentów i istnieją jedynie ze wsparć rządowych lub jakich stronnictw. Ogółem Hiszpania posiada 1,128 gazet i pism peryodycznych.

W Londynie w końcu z. m. staraniem p. Anieli Giełgudowej odbyła się wystawa przedmiotów przeznaczonych na wystawę do Glasgowa. Mieszkańcy bardzo się zainteresowali, szczególnie wyszywaniem wieśniaczek i góralek z Podola galicyjskiego. Niektóre z dam zakupywały na miejscu cenniejsze przedmioty. Lady Kensington nabyła podolską materyę przetykaną srebrną nicią za 20 f. st., oświadczywszy, iż w ubraniu z niej ukaże się na przyjęciu u królowej. Miały wielki pokup przedmioty góralskie: serdaki, kaftany, gerdany, torby itd. Wiele pań poczyniło zamówienia na przyszłość. Obstalunków takich przybyło do Krakowa na przeszło 600 złr.

Saratowskij Listok zamknięty z rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych.

Egzaminy. Z rozporządzenia kuratora warszawskiego okręgu naukowego egzaminy na stopień felczera dla nowowstępujących, jako też dla powtórnie stających, odbywać się będą w szkole felczerskiej dwa razy do roku, w maju i październiku. Kandydaci, którzy nie otrzymają stopni dostatecznych, dopuszczani będą do powtórnego egzaminu nie prędzej, jak po upływie roku.

Rewizye. P. o. oberpolicmajstra poleca komisarzom obejrzeć osobiście w obrębie właściwych cyrkułów warszawskich wszystkie hotele, „chambres garnies,“ domy zajezdne i noclegowe, restauracye, cukiernie, kawiarnie, szynki, bawarye. piekarnie itd., a właścicieli pomienionych zakładów zobowiązać przez ściągnięcie piśmiennych deklaracyj, aby poczynili zewnętrzne i wewnętrzne naprawy. Ostateczny termin wykonania roboty 13 czerwca, poczem nastąpi powtórna rewizya. Uchylający się od zobowiązań pociągani będą do odpowiedzialności sądowej.

Kanalizacya. Jednocześnie z rozpoczęciem układania rur nowego systemu, okazała się potrzeba większej liczby kranów ogniowych (hydrantów). Sprowadzano je z zagranicy; obecnie zarząd kanalizacyi zaprosił do współubiegania się osiem firm krajowych.

Dzierżawy. *Warsz. Dniewnik* pisze: „Prawo z 3 maja 1882 r. zabrania między innemi poświadczenia u-

mów dzierżawnych, zawieranych przez żydów na majątki zewnątrz miast i miasteczek, oraz pełnomocnictwa na zarządzanie tymiż majątkami. Tymczasem jeden z gubernatorów zawiadomił ministeryum sprawiedliwości, że miejscowi notaryusze przyjmują do legalizacyi umowy sprzedaży żydom lasów na wyręb z prawem wielu lat, np. 20, a nawet dłużej, przyczem zezwalają w kontraktach na warunki, według których kupcy żydzi w czasie umówionego terminu mogą wytwarzać smołę, wypalać węgiel, kosić trawę, stawiać rozmaite budynki, kopać doły itp. Według szczegółów zasiągniętych przez ministeryum, okazało się, iż w praktyce sądów okręgowych kraju południowo-zachodniego przy orzekaniu w sprawach spornych tego rodzaju niema jednakowego poglądu na to, czy taka legalizacya umów stanowi wykroczenie przeciw prawu z d. 3 maja 1882 r. Wskutek tego senat rządzący ma obecnie rozstrzygnąć kwestyę ogólną, czy notaryusze, z uwagi na powyższe prawo, mogą prawnie przyjmować i zatwierdzać umowę o wyręb lasu przez żydów na długotrwałe terminy z włączeniem do kontraktów prawa użytkowania z gruntów leśnych, oraz korzystania z innych dogodności w osadach leśnych."

Kapitał gospodarczy (donoszą dzienniki peterburskie) gubernij południowych i południowo-zachodnich, znajdujący się w depozycie dóbr państwa, przelano do skarbu państwa. Natomiast rząd wziął na się wydatek na utrzymanie inspektorów gospodarczo-rolniczych.

Szkoły. Przekształcenie szkół realnych nastąpi dopiero w lecie 1889 r. Powodem odroczenia jest to, iż projekt będzie przedewszystkiem roztrząsany przez zjazd techników na początku roku przyszłego.

— Młodzieńcy, którzy ukończą kurs w przyszłych szkołach „profesyonalnych" technicznych, będą korzystali pod względem służby wojskowej z takich samych ulg, jak kończący średnie zakłady naukowe (gimnazya).

Na konkursie „Lutni" z 14 utworów nadesłanych przyznano nagrodę jednemu tylko kwartetowi na głosy męskie bez akompaniamentu. Autorem jest p. Michał Hertz.

W Instytucie głuchoniemych i ociemniałych pomocnikiem dyrektora mianowany p. Wyczanow.

Szkoła przy instytucie położniczym ulegnie pewnej zmianie. Od uczenic chcących w niej się kształcić wymagane będą wyższe przygotowania.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

M. Daj Pan pokój tej marze.

P. F. R. w Cz. Artykuł Pański powinien być wydrukowany w tem piśmie, któremu odpowiada, tj. w *Kuryerze warsz.* Zachowujemy go do zwrotu.

P. A. A. D. Wiersz ładny, miejscami bardzo ładny, drukowany jednak być nie może. Dziękując za dołączony do niego list, prosimy o inne próby.

Wł. Wiś. Nie pamiętamy, czy były gdziekolwiek całkowicie ogłoszone warunki konkursu brukselskiego na ulepszenia w zakresie techniki.

Pani W. G. Nie.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Апрѣля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.